

XII.

Wyjeżdżając od siostry mojej zaleciłem był Piotrowi, ażeby nałożył choćby kilka mil drogi, byle tylko uniknąć gościnnych Koza-ków pana Doskiego: jechaliśmy więc manow-cami i około południa przybyliśmy do małej wioseczki. Czas było wytchnąć koniom, Piotr przeto zatrzymał się przy karczmie o kilka-dziesiąt kroków od wioski odległej.

Niemając co robić, zacząłem rozmawiać z arendarzem. Dowiedziałem się już był, że ta wieś należy do pana Oleskiego, że robi do sześciu tysięcy intraty, że handel nie dobrze idzie, że siano wymokło, owsa mało, аренда droga i t. d. co mi zapowiadało porządný rachunek za popas; kiedy nagle krzyk jakiś we dworze obil się o moje uszy.

— Co to jest? — zapytałem arendarza.

— To nic panie.

— Jakto nic?

- To pan w drogę jedzie.
- Ale ja pytam co to za krzyk?
- Ja też mówię, to Pan w drogę jedzie.
- I to dla tego tak krzyczą?
- Dla tego; przed drogą ludzi biją.

Zdziwiony temi słowami, niesłuchałem już arendarza, ale poszedłem do dworu, żeby jakimkolwiek sposobem dowiedzieć się o przyczynie tego osobliwego zwyczaju, który mnie przeniósł myślą do czasów kawalerii błędnej, w których owi rycerze niszczyli dziwaczne zwyczaje w różnych zamkach zachowywane. Szczęście mi posłużyło nad spodziewanie. Na dziedzińcu stał mały, chudy człowieczek w polskim stroju. Spostrzegłszy mnie, zbliżył się i po pierwszych jego słowach dowiedziałem się, że to był sam pan Oleski. Nie miałem kopji do skruszenia — domek pana Oleskiego w niczem nie był podobny do feudalnego zamku. Po teraźniejszym więc, z całym oburzeniem na to co mi arendarz powiedział, rzekłem, że zdziwiony osobliwszym zwyczajem bicia ludzi przed podróżą, przyszedłem zapytać się o przyczynę tego.

— Kogoż nieogadają! — zawołał pan Oleski — ktoby myślał że wszystkich dworskich biją, a to tylko furmana i lokaja co ze mną jadą.

— Ale za cóż furmana i lokaja? czy się spili przed drogą?

— Nie, ale widzisz pan jadę daleko, dni kilka w drodze zabawię, niepodobna żeby czego niezbroili, gdzie ich tam karać? łatwiej antycypatywe dać w skórę.

— Ale jeżeli nic niezbroją?

— To prawie niepodobna, pijaki są i nie dbali; wiem że albo co zgubią, albo się spiją, ale gdyby i przypuścić że nadzwyczajnym przypadkiem nic niezrobują, to się im ta ilość którą dzisiaj odebrali, z procentem odliczy przy pierwszym zdarzeniu. Sprawiedliwość przedewszystkiem.

Wzniósłem mimowolnie ramiona, i nieskło- niwszy się nawet, poszedłem nazad ku karczmie. Zaledwo kilka kroków zrobiłem, kiedy doleciały mnie słowa: — Filozof, pewnie z Francji przyjeżdża.

Niewarto było się gniewać, szedłem więc dalej, wsiałem do pojazdu i sownie opła- ciwszy arendarzowi wymokłe siano, brak owsa, drogość arendy i t. d., rozpytałem się o drogę daleką od pana Doskiego, i ruszyłem w dalszą podróż.

Późno już dosyć przybyłem do Międzyca, i tam przekonałem się że troskliwość moja w objeżdżaniu Szarki zupełnie była próżną, i

że wcale niepotrzebnie duży kawał drogi nałożyłem. Stałem przed karczmą dla przebrania się i pojechania do dworu; wszedłem do izby napelnionej żydami, a przecisnąwszy się pomiędzy nimi zobaczyłem pana Doskiego poważnie siedzącego na stole.

— Dziś — mówił — byłem na obiedzie u pana Suskiego i chciałem wiedzieć kto z was mięso do dworu dostarcza?

— Ja panie — odezwał się jakiś mały żydek z rudą bródką.

— Niech pan nie wierzy, — odezwał się drugi — on łajdak, to ja dostarczam mięso.

— Oj wej! ty dostarczasz mięso, — rzekł trzeci — a zkad ty masz mięso?

— Niech JWPan nie wierzy, to łgarz!

— Ty sam łgarz, zwodzisz JWPana!

Krzyk coraz się powiększał i już żydzi mieli się wiać za pejsy, kiedy wystąpił żyd opasły w atlasowym żupanie, zdjął czapkę i zawołał: — Sztyl! — Widać że był szanowany, bo kłócący się żydzi ucichli, a on włożywszy ręce za pas, rzekł poważnie:

— Oni prawda noszą mięso do dworu, to ten, to ten, ale u mnie biorą, więc to ja dostarczam.

Nikt się nieodezwał, co było niezaprzecz-

nym dowodem prawdy; pan Doski przeto zapytał:

— Cóż ci pan Suski płaci?

— Dziesięć groszy od funta, JWPanie.

— Dobrze ci płaci, dobry pan, a sztuka mięsa była lykowata i twarda. Hei!

Wpadło trzech Kozaków, za dany rozkazem rozciągnęli żyda i wypalili mu dwadzieścia batów, po czym pan Doski wstał poważnie, wsiadł do pojazdu i odjechał. Pierwsi współzawodnicy uśmiechnęli się, radzi że im nieuwierzono, a moromorejne wstał, stęknął, podrapał część ukrzywdzoną, podniósł ramiona z zadumieniem, i mruknąwszy półgłosem: — Nu! od początku świata nikt tego niewidział i niesłyszał! — wyszedł stękając.

Tymczasem ja się ubrałem i pojechałem do dworu. Zgromadzenie było liczne, muzyka stała w jednym kącie sali, a pan Suski rozmawiał z kilką mężczyznami. Jak tylko mnie spostrzegł, podszedł parę kroków i uprzejmie zawołał:

— A! jak się pan mas? dziękujemy żeś o nas niezapomniał; zkadze? dokadze?

— Powracam do domu — odpowiedziałem — i niechciałem przejechać tędy, niezłoczywszy państwu mego uszanowania.

— Dziękujemy! dziękujemy! a co za harmonija! zobacz pan. — To rzekłszy zwrócił się ku muzyce i zawołał na kapelmajstra: — Panie Luft, znij Krajcyca!

Kapelmajster skłonił się, dał znak i muzyka grać zaczęła. Odurzony tym Krajczycem, niewiedzialem czego chce pan Suski, po chwili dopiero poznałem muzykę Freischütza.

— A co? — zawołał pan Suski — tęgi Krajcyc! a pysk jak złamany!

— U Krajcyca?

— Ni, u Opodeldoka.

— Co to jest? — zapytałem po cichu stojącego obok mnie Mejera.

— Przywieźli mu — rzekł — bouldoga, którego on nazywa Opodeldokiem.

Żaledwo Mejer skończył mówić, przybliżył się jakiś młody człowiek, i rzekł do pana Suskiego:

— Pan co taki jesteś znawca, powiedz mi, czy mam kupić tego konia którego nam dziś pokazywano?

— Jak chcesz — odpowiedział pan Suski.

— Ale jak się on panu wydaje?

Pan Suski podniósł ramiona, skrzywił usta i rzekł: — Te pses te, i nic.

— Cóżto znaczy? — zapytałem znowu Mejera.

— Niewiem z pewnością, — odpowiedział — ale zdaje mi się że to ma znaczyć, że koń ma słabe nogi. Mogę się mylić, ale w każdym razie jest to nagana konia.

W samej rzeczy była to nagana, gdyż młody człowiek rzekł na to:

— A! kiedy tak, to nie kupię.

Jakkolwiek bawił mię pan Suski, jednakże przyzwyczajenie kazała niepatrzeć na niego jak na raroga i gospodynię powitać; poszedłem więc w głąb sali, gdzie widziałem siedzącą panią Suską. Młody jakiś człowiek bardzo otyły, żywo coś do niej mówił, ustawicznie bijąc się po brzuchu. Jakem się zbliżył, usłyszałem:

— *Oui, madame, qui s'éduque, se produque!*

Pani Suska się uśmiechnęła, a postrzegłszy mię, rada zapewne z pretextu pozbycia się nudnej rozmowy, wstała i postąpiła ku mnie. Młody człowiek nieodstępował jej, pomimo rozmowy wcale nie do niego zwróconej, co widząc pani Suska i chcąc widać koniecznie wymknąć się, prezentowała nas jeden drugiemu i odeszła. Był to młody Władysław Pohorski, syn owego Podkomorzego, któremu poznał był w Horodle, mocno zaintrygowanego umyślnym, który jechał do Gubernatora. Przez chwilę staliśmy w milczeniu,

nareszcie Władysław krząknął, uderzył się po brzuchu i rzekł:

— Ja to mówiłem, że edukacja jest najważniejszą rzeczą, i dla tego założyłem w Daźnie szkołę, której sam doglądam.

— To bardzo chwalebnie, — odpowiedziałem — masz pan prawdziwą zasługę.

— Po jutrze mamy examin, obiecał mi pan Suski przyjechać; a jeźlibyś i pan chciał widzieć nasze postępy, tobyśmy bardzo byli wdzięczni.

Nazajutrz miałem wyjechać, Dażne było prawie po drodze; pan Pohorski lubo dalekim, był jednak moim sąsiadem, i należała mu wizyta, dałem się przeto nakłonić i obiecałem być na examinie. W samej rzeczy na drugi dzień rano wyjechałem niezegnając gospodarzy, i przed wieczorem stanąłem w Dażnem.

Wjeżdżając do brudnego i błotnistego miasteczka, uderzyły mię w oczy napisy na rozmaitych domach. Pierwszy dom był oberżą i na nim napis: „Tu Traktyernia“ dalej „Tu Pensya Panien“; cokolwiek dalej przy błotnistym stawku był młyn, ale widać że pan Pohorski lękał się żeby o tem niewątpiono, bo kazał na froncie napisać: „Tu młyn“. Zbudowany takim niesłychanym porządkiem,

zajechałem do owej traktyerni, a że przez drogę porządnie wygłodziłem się, kazałem zawołać traktyernika, który przeciwnie zwyczajowi swoich kolegów niewyszedł na przyjęcie podróżnego. Po dosyć długiem oczekiwaniu, zobaczyłem wreszcie nizkiego, grubego baryłę toczącego się ku mnie. Opasany był brudną ścierką, która mu zastępowała miejsce fartucha; kaszkiecik lakierowany na bakier włożony, siedział na samym wierzchołku głowy, a reszta ubioru szerokimi plamami okryta, nienajwyborniejsze dawała o ochędóstwie jego domniemania. Uśmiechał się przymrużając oczy i zataczając się, postępował ku mnie; widać było z daleka, że był dobrze podпиты. Widok ten odjął mi wprawdzie nadzieję posiłku, ale szczęściem odjął i znaczną część apetytu, jednakże zapytałem wesolego kacharza, co bym mógł dostać do jedzenia.

Kucharz potrząsł głową, wysunął spodnią wargę, podniósł ramiona i w głos się rozśmiał. Nareszcie uspokoiwszy się trochę, rzekł:

- Panby chciał co zjeść?
- Tak jest.
- Może cielęcych kotletów?
- Dobrze.

— Cóż kiedy nie mam cielęciny. Możeby pan wolał baranią pieczeń?

— Niech będzie i pieczeń.

— Cóż kiedy nie mam baraniny. Możeby lepiej jajecznikę?

— Daj wreszcie i jajecznicę.

— Cóż kiedy mam tylko cztery jaja.

— Będę miał dosyć.

— Ale jaja już od dni kilkunastu zasiedziane i wkrótce będą kurczętą.

— Ha! ha! ha!...

Trudno było się gniewać na pijanego żartownisia; powiedziałem mu przeto że lepiej zrobi jeżeli spać pójdzie i piechotą poszedłem do dworu. Zbliżałem się do bramy, kiedy wyszedł Podkomorzy. Niewidząc mnie, rzekł do jakiegoś starego sługi:

— Tylko nie wiele zapalić świeczek, z dzieśiatek, co druga lipa jedną — dodał pokazując na przepyszne lipy przy dziedzińcu rosnące.

To rzekłszy, wsiadł na czekający go za bramą wózek i pojechał. Ja poszedłem do dworu. Zastałem w salonie kilkanaście osób; Władysław prezentował mnie matce i siostrze, wcale ładnej panience, i uwiadomił mię, że dnia tego były imieniny jęga ojca, który wyjechał, ale wieczorem powróci.

Pani Pohorska, miła kobięta, przyjęła mię z ujmującą uprzejmością, ale gośćmi zajęta, mało mogła dać mi czasu. Niemając nikogo, musiałem się rad nierad trzymać pana Władysława, który w wigiliję examinu chcąc udawać mądrego, wdał się w metafizykę i niemógł z niej wybrnąć. Opowiadał mi właśnie jak to w mózgu są kruczki, które chwytają i przytrzymują myśli, i tak mnie nudził, że już zaczynałem usypiać, kiedy szczęściem nadjechał i wskoczył do pokoju panegirysta Fiszera: Jan Sokulski. Zaledwo trochę się pokręcił, postrzegł mię i przybiegł.

Wdzięczny za uczynioną dywersyę mile go przywitałem i starałem się ile możności oświecić o miejscowych okolicznościach. Pan Jan, kiedy mi mówił o Fiszercie, miał nie złę koncepta; wesoly był i towarzystwo jęgo nierównie przyjemniejszem było, niż się po pierwszym poznaniu spodziewałem. Zaledwośmy zasiedli, zaczęto mocno dzwonić na dziedzińcu. Władysław się zerwał, zawołał: — To papa powraca! — i wybiegł. My także poszliśmy za nim. Cała familija zgromadzona była w bramie dziedzińca; kilka świeczek łojowych tlało przy lipach, a pana Podkomorzęgo widać było o kilkadziesiąt kroków.

Dojechał wreszcie, wyskoczył z wózka, rozplakał się i zawołał:

— Dziękuję wam za tę illuminacyą, miła surpryza!

— Którą sam sobie kazał zrobić — rzekłem cicho do Jana.

— I którą robi co roku — Jan odpowiedział — od lat pięćdziesięciu i zawsze się rozrzewnia.

Po czułych uściśnieniach i podziękowaniach, ruszył pan Podkomorzy ku domowi; wtem z drugiej strony dziedzińca wystąpił kahał i zaszedł mu drogę. Jeden z kahalnych w świąteczne szaty przybrany, dobył z zanadru sexternik i zaczął czytać. Długo nie wiedziałem jakim językiem, ale przysłuchawszy się, poznałem że po łacinie, i z kilku słów lepiej wymówionych zrozumiałem, że to była mowa przed kilkunastu laty na wjazd Księcia Dominika Radziwiła do Nieświeża napisana przez profesora tamtejszej szkoły. Pan Podkomorzy, a przy nim pan Władysław pilnie słuchali nierozumiejąc ani słowa, coraz tylko potrząsali głową; Władysław czasem spozjrzał na nas i mrugał jakby chcąc mówić: — O to ładnie! — a wiele razy żyd mówił: *Princeps* albo *Magnificus*, oba się klaniali.

Ta komedia trwała z pół godziny, nareszcie żyd zamilkł, przeprosił pana Podkomorzego że niepowiedział całej mowy, bo nie mógł jej dostać, ale gorliwie zapewniał że było więcej jak połowa, prawie trzy części, i podał na wyszczerbionym talerzu kilka pierników i orzechy w miodzie smażone.

Pan Władysław wystąpił naprzód, nadął się, uderzył się po brzuchu, krząknął i rzekł:

— Jak nawa kołysana na rozhukanych balwanach, zginęłaby bez sternika, tak kahał zginąłby bez dobrego pana w miasteczku; hum hum, macie tu w przytomnym solenizancie tego dobrego pana, patrzy on na was jak orzeł, który, chociaż elementa wzburzone, pogląda z góry na swoje dzieci; idźcie więc i bądźcie zdrowi! Hum hum!

— Daj panie Boże! — odpowiedzieli żydzi, skłonili się i poszli, a my weszliśmy do domu.

Wkrótce zaczęli zjeżdżać się goście, gdyż pan Podkomorzy miał zwyczaj co roku imieniny swoje obchodzić. Napróżno długi czas wyglądałem czy się liczba znajomych moich nie powiększy; nareszcie zajechała kryta bryka, a z niej wysiadły dwie kobiety i opasły mężczyzna po polsku ubrany. Była to pani Jeliszowa z mężem i pani Borska, którą po-

znałem już był w czasie mojej wędrowki. Jak tylko te panie zasiadły, zbliżyłem się do pani Borskiej. Jan przyszedł ze mną i zawołał:

— Jak się ma ciocia?

— A cóż — odpowiedziała pani Borska — niedobrze, serduniu.

Wtem nadszedł ktoś drugi i znowu rzekł:

— Jak się ma ciocia?

— Nie dobrze, serduniu.

Potem nadszedł trzeci, czwarty, słowem prawie cała młodzież znajdująca się w salonie; każdy zapytał:

— Jak się ma ciocia?

I usłyszał: — Nie dobrze, serduniu!

Zdziwiony tą liczbą siostrzeńców i synowców, zapytałem Jana, jakim sposobem pani Borska jest ciocią ich wszystkich.

— To — odpowiedział Jan — jest ciocia powiatowa, wszyscy ją tak nazywają.

Wpatrywałem się w panią Borską aby dostrzedz w czem podobniejsza jest do cioci niż inne kobiety, ale napróżno. Spojrzenie ospałe, nos duży nieco skrzywiony, policzki jak nalane, to wszystko na malutkiej grubej i niekształtnej figurze osadzone, robiło z niej kocz-kodonika ale nie ciocię.

Kiedy się tak wpatrywałem, Jan zbliżył

się do niej i zaczął jej półgłosem palić komplementa. Ciocia wytrzeszczała oczy, nareszcie postrzegłszy widać jakąś nieszczerłość w mowie Jana, ofuknęła go głośno:

— Pan wiesz, że człowiek nieszczerzy to gorszy jak żyd!

Jan zagryzł wargi żeby się nieuśmiechnąć i dalej prawił. Ciocia zaczęła po trochu tonieć, coraz to rzekła: — Ta dajże pokój serduniu! — i zdawało się że dobra harmonija wróci zupełnie, kiedy nieszczęściem Jan przesadził komplement i rzekł:

— Pani w moich oczach jesteś piękną jak Wenera!

Ciocia splonęła rumieńcem, wargi się jej zatrzęsły i wrzasnęła z gniewem:

— Ja, Wenera! Cóż to pan sobie myślisz? czy to ja nie jestem pocziwa kobieta!

— Ale, — rzekł Jan zmieszany tym niespodziewanym wybuchem — Wenera jest bogini piękności!

— Znam ja te boginie, niepotrzebuję tłomaczenia, proszę mi dać pokój!

Jan cofnął się, a ja tymczasem przysunąłem się do pani Borskiej i na ukalmowanie ofiarowałem tabaczkę. Pani Borska zapuściła palce w tabakierkę, wtem odezwał się cieniutki głosik:

— Cy pani wachas?

Zwróciłem głowę i postrzegłem że tym trzecim interlokutorem była pani Jeliszowa, malutka, garbata, z twarzą pozszywaną od ospy, i ogromnie szerokim rozplaszczonym nosem. Do tych wdzięków głosik miała piskliwy i mocno szepleniła. Zdziwiony jej osobliwszem wyrażeniem zwróciłem się ku niej i rzekłem:

— Pani Dobrodziejka niezażywasz tabaki?

— Dawniej wahałam — odpowiedziała — ale teraz nie wacham, bo mój mąż tego nie lubi. Prawda Monkeruniu? — dodała zwracając się do męża.

— Wielka prawda! — odpowiedział grubym głosem Monkerunio — ale też i ja wyrzekłem się lulki, boś jej nie lubiła.

— Co to, to prawda — rzekła pani Jeliszowa — mieliśmy oboje nałogi. Bywało mój mąż kuzy a kuzy, a ja wacham a wacham! Jemu lulka z gęby niewychodziła, a u mnie tabakierka się niezamykała; ale jakeśmy się pobrali, tośmy sobie dali słowo wyzecz się nawzajem nałogów.

— Trudno było się odzwyczaić — rzekłem przygryzając wargi.

— A jednak dotrzyaliśmy obietnicy.

— Musieliście państwo wiele ucierpieć, bo jak to mówią: nałóg to druga natura.

— Zapewne, to też odwykaliśmy powoli. Mój mąż coraz zadziej kuzył, raz na dzień, potem co dwa dni, potem co tydzień i przyszło do tego, że teraz bardzo zadko sobie za kuzy, kiedy już wytrzymać niemoże.

— A pani ze swojej strony także zapewne tym samym trybem odzwyczaiłaś się?

— Tym samym; jednak trudniej mi było, bo te wachanie to straszny nałóg. Łatwiej odwyknąć od kuzenia; jednakże udało mi się i także zadko kiedy powacham.

Ucieszny sposób mówienia pani Jeliszowej dawał mi nadzieję, że dowiem się może innych jakich nadzwyczajnych wyrażen; chciałem więc dalej prowadzić rozmowę, ale gospodarz zbliżył się do nas i rzekł:

— Pan do karcmy zajechał, to dla mnie ksywda, niech pan kaze przyjąć tutaj pojazdowi.

Niemogłem odmówić tak uprzejmym zaprosinom, oświadczyłem więc, że je z wdzięcznością przyjmuję.

Na to Podkomorzy uściskał mnie i zawołał: — Panie Sienitowski! posłać do karcmy po pojazd i zecy pana Hrabiego. A pamiętać żeby konie obrok mieli!

Podziękowałem mu za jego troskliwość, a Jan szepnął mi do ucha:

— Niechże pan pamięta kazać kupić owsa, bo konie głodne będą.

— Wszakże gospodarz polecił, żeby im dano wygodę?

— Tak, — rzekł Jan — ale polecając to, miał kulać prawej ręki złożony, to albo nie-dadzą owsa, albo dadzą takiego co przesy-pany przez suche wilecze gardło, to konie go się niedotkną.

— Co ty pleciesz? — rzekłem — to nadto!

— Widać — odpowiedział Jan — żeś pan niedawno przyjechał, kiedy niewiesz że pan Podkomorzy ma kilka korecy owsa, któremi od niepamiętnych czasów konie gości nakarmia, a jeszcze i ziarko nie ubyło.

Na te słowa ktoś nadszedł, rozmowa się zmieniła i jużem był całkiem o niej zapominał, kiedy w dobre pół godziny Jan znowu rzekł do mnie:

— Już konie przyjść musiały, dobrzeby zobaczyć.

Ciekawość mię wzięła i poszliśmy jakby na spacer, lecz wkrótce zwróciliśmy w inną stronę i weszli do stajni.

Konie moje stały przy żłobie z górą napelnionym, ale tylko parskwały i rwały się jak

mogły, żeby się od owsa oddalić. Pusty śmiech mię ogarnął, dałem Piotrowi rubla na kupienie owsa i wróciliśmy do salonu. Bliżsi sąsiedzi odjechali, inni to do karczem, to do przeznaczonych sobie pokojów odeszli, i my też za ich przykładem wynieśliśmy się pomału.

XIII.

Na drugi dzień z rana przypomniawszy sobie examina, uznałem być rzeczą przyzwolitą oddać ranną wizytę panu Władysławowi; wszedłem więc do jego tak nazwanej kancelaryi. Siedział przy biurku z piórem w ręku i zajadłe ogryzał go. Głowa łysa jak kolano, poszmerowana była czarnymi kresami w rozmaitych kierunkach, bo pan Władysław całkiem pracą zajęty, niepomniał że zdjął był perukę i coraz pióro o łysinę ocierał. Powtarzałem głośno frazesa które miał pisać, i ode drzwi jeszcze usłyszałem: — Jak nawa na rozhukanych bałwanach! — Niechcąc być natrętnym, cofnąłem się nagle i wracałem do siebie, kiedy spotkałem Jana który z drugim przystojnym młodym człowiekiem szedł do mnie.

— Prezentuję panu — rzekł — pana Janusza Nojeskiego, szwagra pana Władysława.

Pan Janusz wcale miły człowiek, rozmawiał o różnych rzeczach; widziałem że trafnie i zręcznie chwycił śmieszne strony, a że śmieszności niebrakowało, ten jego humor ucieszył mię. Mieliśmy jeszcze parę godzin do examinu, starałem się więc aż do tej chwili zatrzymać pana Janusza; byłoby mi się jednak zapewne nieudało, gdyż często poglądał na zegarek, jak gdyby miał jakiś moment naznaczony do odejścia, ale Jan niechcąc przyszedł mi w pomoc; niewiem z jakiego powodu wspomniął o panu Urskim. Janusz zmienił natychmiast ton żartobliwy na jakim dotąd rozmowa się utrzymywała i powiedziawszy że pan Urski jest prawdziwie zacny i pożyteczny obywatel, zaczął mówić o jego zbiorach z takim taktem i znajomością rzeczy, że z prawdziwą przyjemnością go słuchałem; w tej rozmowie przyszło mi wspomnieć o mojej wizycie w Horodle i rękopiśmie który pan Urski dał mi do przeczytania.

— Czytałem go także, rzekł Janusz.

— Czyż to jest prawda — zapytałem — żeby człowiek tak pięknego imienia dopuścić się takich zbrodni?

— Nieszczęściem prawda — odpowiedział

Janusz — też samą miałem wątpliwość i ciekawy byłem przekonać się; w czasie więc bytności mojej w Łucku przejrzałem archiwa i znalazłem dekret: wątpić już przeto nie mogłem.

— Pamiętam — przerwał Jan — że jakąś inną, ale tego samego rodzaju powiastkę czytałem u niego.

— Wiem o czem mówisz — odpowiedział Janusz — to był wypadek w Krakowskim u Margrabiego Wielopolskiego, także prawdziwy, i dosyć zajmujące szczegóły przedstawiający.

— Cóż to było? — zapytałem.

— Długo byłoby to opowiadać — rzekł Janusz.

— Wszak jeszcze mamy parę godzin wolnych.

— A! jeżeli to panu robi przyjemność, to opowiem co pamiętam, a jeźliby czego zabrakło, to Jan dokończy, ponieważ czytał także opisanie tego zdarzenia.

— I tak go pamiętam — przerwał Jan — jak gdyby to dzisiaj było.

Po tych słowach, Janusz z wielką moją radością położył kapelusz który już trzymał w rękę i zaczął opowiadanie. Niedaję go dosłownie z częstemi przerywaniami i dodatka-

mi Jana, ale tak jak mi w pamięci zostało w kilka dni później jako tako ułożone z notatek tegoż wieczora jeszcze zrobionych, przepisuję.

PAN PIOTR.

Powietrze było czyste, żadna chmurka niebląkała się po wypogodzonem niebie, a mocny jesienny przymrozek ścisnął był ziemię tak, że najmniejszy odgłos rozlegał się opodal. Dnia tego około ósmej z rana, słychać było zdaleka na drodze prowadzącej do Żywca turkot powozu, przerywany to rażnem trzaskaniem z bicia, to okrzykiem: wiu! ho! Wkrótce pokazała się bryczka pięcią kołmi zaprzężona. Młody chłopaczek po krakowsku ubrany, siedział na dyszlowym koniu i jednym lejcykiem prowadząc całą uprząż, pędził tęgim klusem. W bryczce dwóch podróżnych siedziało: jeden z nich lat ze czterdzieści mający, w granatowym kontuszu, litym pasem opasany, zdawał się być panem ekwipażu; drugi w szaraczkowej liberyi, widocznie był lokajem. Po chwili milczenia pierwszy wyciągnął rękę ku Karpatom wznoszącym się w bliskości i rzekł z zadziwieniem:

— Dotąd jeszcze!

Drugi spojrzał w tę stronę, potrząsł głową i odpowiedział:

— Niech Bóg ich sędzi! nabroili też i jeszcze broją.

— Czy słyszałeś co nowego Grzegorz?

— Nie panie, ale w górach zawsze rozboje, a często i w dolinę zchodzą rabować; oj te Górale! nie daj Boże wpaść im w ręce! Że czasem którego powieszą to dalibóg nie źle, tylko że to u tych Niemców wszystko nie tak jak u ludzi.

— Jak to?

— A cóż panie! drugiby złapał, powiesił, taj pochował, a szoldra Niemiec nie dosyć że powiesi człowieka, jeszcze i niezdjełmuje go z szubienicy. Niech pan przypomni, wszak to ten Góral co go pan pokazujesz, już lat ze trzy wisi. Coraz to go na nowo ubiorą; wyciągnął się jak struna i tylko katolikowi ambaras!

Pierwszy się uśmiechnął, a Grzegorz sądząc widać że niepojął dobrze jego twierdzenia, dodał:

— A zapewne panie, człowiek z domu wyjść nie może żeby tego wisielca niezobaczył, bo jakby umyślnie, na najwyższej górze go powiesili, i Bóg wie co zrobić: nieprzeżegnać się, źle, bo nieboszczyk; przeze-

gnać się, także źle, bo rozbójnik. To człowiek tylko odwróci głowę, i sam niewie czy zgrzeszył lub nie.

— Robią to dla przykładu — rzekł pan — myślą, że taki, jak Góral zobaczy że kolega jego wisi, to dwa razy pomyśli nim pójdzie rabować.

— Dla przykładu! — mruknął Grzegorz — piękny przykład! Wieleż to dworów napadli i zrabowali od czasu jak ten Góral wisi?

— Tego moj kochany, trudno od razu wytępić. Z czasem może ten przykład i zrobi swój skutek.

Grzegorz potrząsł głową, jakby niewierząc w tę przepowiednię i nic nieodpowiedział. Wtem pojazd wjechał do małej wioseczki, i zatrzymał się przed karczmą.

— Wytchniem panie szkapom — rzekł furman, zeskoczył z konia, lejcyk przywiązał do koła i wbiegł do karczmy. Grzegorz także wysiadł z bryki, a pan jakby strudzony podróżą, oparł głowę o budę i zamknął oczy.

Grzegorz pokręcił się koło bryki, opatrzył uprzęż, a nieznalazszy widać nic do poprawienia, wszedł do karczmy. Po chwili wyskoczył na drogę i jednym susem stanął koło bryki.

— Panie, panie! — zawołał przytłumio-

nym głosem, ale pan smaczno usnął i nie ruszył się.

— Panie, panie! — powtórzył Grzegorz, zawsze cicho ale trącając pana ażeby go obudzić.

— Cóż tam takiego? — zawołał pan prostując się.

— Panie! jedźmy jak najprędzej.

— Dla czego?

— Pełna karczma Górali!

— Cóż nam to szkodzi?

— Kiedyż im panie źle z oczów patrzy, już na pół pijani i skrzypaka sprowadzili.

— Tem więcej nic nam niegrozi! może jakie wesele odprawiają.

Wtem na fałszywej skrzypeczce ucięto rażnego krakowiaka, dało się słyszeć tupanie tańczących, potem raptem ucichło i głos donośny zaintonował:

Alboż my to jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy Krakowiacy!

— Ot widzisz — rzekł pan — że oni sobie bawią się i wcale o nas niemyślą.

— Czemuż niebawia się w górach — odpowiedział Grzegorz — a to tyle ich tutaj się zeszło. Jedźmy panie!

— Może panna młoda z tej wsi rodem, to tutaj i wesele odprawiają.

— Już ja im nie wierzę panie; naszło ich aż ciemno w karczmie. Jedźmy sobie!

— Mniejsza o to, to i jedźmy — odpowiedział pan.

Grzegorz pobiegł po furmana, ten wskoczył na konia, trzasnął z bicia, uderzył po koniach lejcykiem, zawołał ochoczo; wiu! ho! i bryka ruszyła.

Jak tylko wyjechali na pole, Grzegorz odetchnął i zawołał: — No! chwała Bogu żeśmy przecie ze wsi wyjechali.

— Sam niewiesz czego się boisz — rzekł pan z niecierpliwością.

— Daj Boże żeby tak było — odpowiedział Grzegorz — ale to źle wygląda. Niech-no pan patrzy — dodał pokazując na drogę.

— Cóż takiego?

— Ot znowu dwóch Górali przed nami, a tam przez pole także kilku z różnych stron się wlecze. Boże uchowaj! — To rzekłszy przeżegnał się.

— Cóż dziwnego? idą na wesele.

— Nie wszystkim to wesele — mruknął Grzegorz — wesołe będzie.

— At! sam niewiesz co pleciesz — odpowiedział pan i dla pozbycia się gawędy Grzegorza, która go nudzić zaczęła, odwrócił się

trochę, oparł głowę o budę i zamknął oczy jakby zabierając się do spoczynku.

— Sam niewiesz co pleciesz — powtórzył mrużąc Grzegorz, podniósł ramiona, potrząsnął głową, plunął na drogę i zamilkł. —

W zamku Żywieckim, w jadalnej sali słychać było głośnie rozmowy przerywane brzękiem kielichów i wnoszonemi toastami. Pan Margrabia Wielopolski traktował licznych gości, na których u niego niezbywało; sam jednak niebył przy śniadaniu, tylko jeden z gości uproszony przez niego, zastępował jego miejsce. Widać było od razu, że Margrabia trafny zrobił wybór, zapraszając na swoje miejsce pana Cześnika, bo ogromna ilość wypróżnionych butelek, czerwone twarze biesiadujących i kłótlivo-wesoły humor dowodziły, że traktowanie troskliwie się odbywało. Pod koniec śniadania wszedł Margrabia, szlachta powstała, a Cześnik mrugnął na Pawła, ulubionego hajduka Margrabiego. Paweł skoczył w róg sali, otworzył szafkę, dobył ogromny kielich z nakrywą i postawił go przed Cześnikiem. Drugi sługa przyniósł kilka butelek węgryzna, zdjął nakrywę i zaczął napełniać kielich. Za czwartą dopiero butelką wino doszło do brzegu. Cześnik po-

wstał, wziął kielich oburącz, zawołał: — Wiwat Jaśnie Wielmożny Margrabia! — i przyłożył usta do kielicha. W miarę jak łykał, pot zbierał się w dużych kropłach na czole, żyły na skroniach pęczniały, oczy krwią zachodziły i zdały się wylać z głowy, co raz głośniejszapał nosem; zdawało się, że albo mu co pęknie w głowie, albo będzie musiał odetchnąć. Ale wreszcie pokazało się dno kielicha; szlachta zawołała: — Bravo! — a pan Cześnik postawiwszy z tryumfem wypróżniony kielich, ciężko odetchnął, otarł chustką czoło, przymuskał wąsy i siadł zasapany, jakby był z milę ubiegł piechotą.

— Kto kocha JW. Margrabiego, — zawołał przytomny uczenie Komornik — to duszkiem wypije!

— Dobrze! dobrze! — zawołano i gość siedzący obok Cześnika porwał napelniony już kielich. Zaledwo jednak doszedł do trzech części tak mu tchu zabrakło, że musiał go od ust odjąć.

— To rzecz nie łatwa — rzekł Cześnik uśmiechając się.

— Nie każdy tak gracko pije jak pan Cześnik — odpowiedział zdekoncertowany szermierz, wypił resztę wina i kielich postawił przed sąsiadem

Tak kielich przechodząc od sąsiada do sąsiada z rozmaitem szczęściem, zbliżał się do miejsca na którym siedział człowiek chudy, blade, małego wzrostu, po bernardyńsku ubrany. Był to kwestarz, przypadkiem dnia tego do Żywca przybyły. Wszystkie oczy zwróciły się na niego z powątpiewaniem i jakby litością. Widząc to Margrabia i także porównyując małą figurkę Bernardyna z kolosalną figurą kielicha, rzekł:

— To twardy kasek do zgryzienia, mości Księżu! ale niech cię propozycya przyjaciół moich niestraszy; jeżeli nie możesz wypić duszkiem, to wypij sobie pomału. Wszak pozwalamy? — dodał obracając się do gości.

— Pozwalamy! pozwalamy! — zawołało kilka głosów razem — niech Książdz Dobrodziej zrobi jak mu się podoba.

Bernardyn powstał, skłonił się i niespuuszczając z oka kielicha, odpowiedział skromnie: — Wypiję duszkiem.

— Ej! czy nie za wiele Jegomość obiecujesz? — odezwał się Cześnik upojony swoim tryumfem.

— Mam w Bogu nadzieję — rzekł Bernardyn.

— Ej mości Księżu! — zawołał któryś z gości — i jato nie dzisiejszy, pijało się nie raz, a tego kielicha niedociągnąłem.

— Ja dociągnę — rzekł Bernardyn.

— Wątpię.

Bernardyn ruszył się cokolwiek żywiej, jakby zniecierpliwiony i odpowiedział! — Dociągnę!

W tej chwili Paweł schylił się i coś szepnął do ucha jednego z przytomnych. Ten zawołał z zadziwieniem:

— Czy to być może?

— Widziałem — odpowiedział głośno Paweł.

Wszyscy w tę stronę zwrócili oczy z ciekawością, a ten sam biesiadnik widząc to, rzekł:

— Paweł powiada, że przed śniadaniem Książd Dobrodziej ten sam kielich w kredensie spełniłeś.

— Próbowałem — odpowiedział skromnie Bernardyn.

Szlachta spojrziała na niego z zadziwieniem, jaki taki mruknął, to pokręcił węża, to podniósł ramiona z litością, jakby biorąc słowa Bernardyna za fanfaronadę, on zaś spuścił oczy i czekał cierpliwie kolei.

Przyszła nareszcie! Nalano kielich, wszystkie głowy zwróciły się ku Bernardynowi, a na twarzach malowała się to ciekawość, to ironiczna nieufność. Wtem Bernardyn powstał,

zawołał: — Wiwat JW. Margrabia! — i wlał wino do gardła jakby do beczki, bez najmniejszej trudności.

Cześćnik pobladł czując utratę swojego tryumfu, a szlachta zadziwiona, zawołała: — Brawo!

— JWPanie, takiego szanownego zdrowia niegodzi się spełniać półkielichem!

— Jakto? — zawołał Margrabia surowo na służącego. — Nie pelen kielich nalaleś?

— Kielich był pelen JWPanie, — prze-rwał skromnie Bernardyn — ale nakrywa próżna; proszę więc o nią aby to szanowne zdrowie dopełnić.

Podano mu nakrywę, w którą wiano dwie butelki. On ją duszkiem wypróżnił, uklonił się, spuścił oczy i siadł spokojnie.

Szlachta spojrziała na niego z uszanowaniem i zaczęła była głośno zadziwienie swoje oświadczać, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł człowiek średniego wzrostu, po polsku ubrany. Strój jego okazywał dostatniego obywatela. Na żółtym atlasowym żupanie, granatowy kontusz z wylotami, pas lity, a przy nim karabela z rękojeścią kamieniami nasadzaną, szpinka brylantowa pod szyją, włosy w koło głowy podstrzyżone, wąs gładko przymuskany, dowodziły że starannie

trudnił się swoją toaletą. Widać że dobrze wszystkim był znany i że się przybycia jego spodziewano, bo razem zawołano:

— A bywajże panie Piotrze! a bywajże!

Sam nawet Margrabia powstał i mile nowo przybyłego powitał.

— Cóż tak późno przyjeżdżasz? — rzekł

— panie Piotrze, my tu już nie jedno zdrowie wypili!

— Co się przewlekło JWPanie, to nieuciekło; — odpowiedział pan Piotr — gdzież szklaneczka?

Podano mu ów potężny kielich, a kiedy brał go oburącz, ktoś zawołał:

— Ale tak jak Ksiądz z nakrywą.

— Niech będzie z nakrywą — Piotr odpowiedział, spełnił obie porceje, otarł wąsy i zasiadł do stołu. Po pierwszej potrawie zawołał: — Jakież toasty spełniono? boto was nie łatwo dogonić, trzeba wcześniej zacząć.

— Panu Dobrodziejowi — rzekł Bernardyn — możeby smutno było samemu przeszłe toasty spełniać, to ja i podyktuję i pomogę.

Nikt się nieodezwał, tylko wszystkich oczy zwróciły się na Bernardyna, który natychmiast dopełniać zaczął przyjętego obowiązku; co raz to wniósł toast i oba go z panem Piotrem spełniali.

— Gdyby się spił przynajmniej — rzekł jeden z przytomnych patrząc na Księdza. — Nam już dawno we łbach zaszumiało, choćto my nie ułomki, a ten już drugi raz te same spełnia toasty, a błąd jak chusta.

— Dawno ja o nim słyszałem, — odpowiedział drugi — onby tak pił do sądnego dnia, a nieby mu się niestalo.

— Co u licha! chyba ma jakiś sekret?

— Ot jego sekret! patrz na niego.

Pierwszy spojrział na Księdza i przeżegnał się z zadziwienia. W rzeczy samej postrzegł niepospolity fenomen: z głowy Bernardyna wydobywała się para i formowała nad nim jakby obłok.

— Święty! święty! — zawołano.

— Zdrowie Księdza Dobrodzieja — rzekł Piotr i wszyscy porwali się do kielichów.

Jak już przeszło zadziwienie, Margrabia rzekł do Piotra:

— Dla czegoż tak późno przyjechałeś?

Piotr wznosił ramiona i odpowiedział!

— Żonie się przywidziało, że jakieś nie-szczęście ma nas spotkać i niechciała mię puścić z domu, ledwo nieledwo wyperswadowałem jej tę chimere; ale z kobietami nie łatwa sprawa, więc późno wyjechałem, a byłbym się i więcej opóźnił, gdyby mię

był w Łopuchowie Grzegorz nieodpędził od karczmy.

— Wiwat Grzegorz! — zawołał Bernardyn nalewając kielich.

— Wiwat, wiwat! — zawołała szlachta, i wszyscy zdrowie Grzegorza spehili.

— Jak to odpędził cię od karczmy? — zapytał Margrabia.

— Stałem koniom wytechnąć, ale że do karczmy naschodziło się Góralów, a tylko co widzieliśmy byli tego wisielca, co to już od kilku lat dla przykładu wisi, zdało się Grzegorzowi żeśmy wpadli między zbójców, i tak mię trącał, tyle wołał, że m się nareszcie obudził i kazałem jechać.

— Niema i dziwu — rzekł któryś z przytomnych — tak często slychać....

— Ot, co tam uważać! — rzekł Piotr porywając kielich — w ręce Jegomości Dobrodzieja — dodał obracając się do Bernardyna. — Zdrowie żon naszych!

Bernardyn wziął kielich i zawołał: — Ja swojej niemam, zdrowie żon cudzych!

— Brawo Księżu! lepski jesteś — rzekł Cześnik, a wszyscy powtórzyli: — brawo! brawo! — i w głos śmiać się zaczęli.

Tak Piotr z Bernardynem coraz nowe zdrowia wymyślali. Wszyscy byli w wybornych

humorach, każdy sadił się na koncepta, lecz widać było, że wszyscy przyznawali panu Piotrowi pierwszeństwo w sztuce dowcipkowania, bo wiele razy otworzył usta wszyscy zamilkli, a jak tylko skończył mówić, wszyscy razem się zaśmieli. W jednym z takich momentów kiedy pan Piotr zabierał się odpowiadać na jakiś przycinek, wszedł Paweł ulubiony hajduk Margrabiego. Pan Piotr spojrział na niego, wstrząsł się mimowolnie i z zadziwieniem powszechnem zamilkł.

— Co ci jest panie Piotrze? — zawołał Cześnik.

— Nic, nic — odpowiedział Piotr — jakiś dreszcz mię przeszedł, ale już minął.

Jeszcze czas jakiś trwało śniadanie, Bernardyn pił nieustając, pan Piotr mu dobrze wtórował, ale napróżno usiłował dowcipkować; za każdym spojrzeniem na Pawła wzdrygał się mimowolnie. To robiło na nim tak przykre wrażenie, że nakoniec, jakkolwiek jego miłość własna mogła cierpieć na tem, udał że niewystarczy Bernardynowi i wstał od stołu, oświadczając że już więcej pić nie może.

— To coś nienaturalnego — rzekł Cześnik do Komornika — pan Piotr, który nikomu jeszcze nieustąpił, teraz wstał od stołu i tak nagle stracił wesołość.

— Pomiarkował widać — odpowiedział Komornik — że Bernardyn go zwycięży, i wolał niby to dobrowolnie ustąpić.

— Ależ prawda! — przerwał Cześnik zadowolony o Piotrze — tak pić jak ten Bernardyn, to nie z Bogiem.

Przez czas dość długi rozmowa odbywała się pokątnie pomiędzy gośćmi na grupy podzielonemi, ale widać było że wszyscy wyłączenie Bernardynem zajęci, bo co raz można było usłyszeć: — Niech go Bóg kocha! Dym ze łba jak z komina! — i t. p.

Piotr tylko niespokojnością i smutkiem drewniany, zaraz wstawszy od stołu wyszedł z sali i poszedł do ogrodu. Margrabia który go lubił, wyszedł za nim i dopędziwszy go w jednej ciemnej alei, rzekł:

— Co ci się stało panie Piotrze? tak nagle zmieniłeś humor?

— Sam niewiem, — Piotr odpowiedział — jakaś niepojęta ogarnęła mię niespokojność, moje serce przeczuwa jakieś nieszczęście.

— Jak możesz — rzekł Margrabia — poddawać się takim urojeniom?

— Ja robię sobie wszelkie uwagi jakie można tylko zrobić, ale przykre uczucie którego doświadczam, możniejsze jest nad wszystko.

— Ależ przecie, kiedy już myślisz że twoje serce coś przeczuwa, to powiedz przynajmniej jaki to jest rodzaj przeczucia? czego się lękasz?

— Wstydzę się prawie — Piotr odpowiedział — zwierzyć się z dziwactwa mojego. — To rzekłszy, zatrzymał się przez chwilę, narazie jakby z przymusem dodał! — Oto widok Pawła tak mię porusza.

— Widok Pawła! — zawołał zdziwiony Margrabia — Pawła, co u mnie już od lat czterdziestu służy, sam jeden mi posługuje, sypia nawet w moim przedpokoju! Czegoż się od niego lękać można? Przyjdź do siebie panie Piotrze, sam widzisz że to wszystko jest czcze urojenie.

— Wiem o tem, jużem to sobie sto razy powiedział, a jednak za każdym spojrzeniem na niego, dreszcz jakiś mnie przenika, sam siebie niepojmuję!

— Oto — rzekł Margrabia — jeżeli nie za wiele, to przynajmniej za nagle piłeś; idź do siebie, wypocznij, to i niespokojność twoja minie.

— Niechaj pan nazwie mię dziwakiem, a muszę wrócić do domu. Żegnam pana.

— Maszże pod noc opuszczać dom przyjacielski — odpowiedział Margrabia — nara-

zać się na złą porę, na bezsenność, właśnie kiedy same twoje urojenie dowodzi żeś niezdrow. Na to nigdy niepozwole. Kiedy już koniecznie chcesz nas opuścić, to jutro choćby najraniej pojedziesz, ale dzisiaj! cóżby myślano? Pan Piotr niezwykle do Żywca jak po ogień przyjeżdżać.

Piotr długo wymawiał się gościnnym naleganiom Margrabiego, ale nareszcie, czy to przekonany o śmieszności swego urojenia, czy też ulegając tylko prośbom człowieka, którego szanował i kochał, dał się nareszcie namówić i do jutra wyjazd swój odłożył. Nie wszedł już jednak do sali, lecz pożegnawszy Margrabiego, poszedł prosto do przeznaczanego sobie mieszkania. Reszta gości także dość prędko zabrała się do spoczynku, którego potrzeba po opisanej wyżej biesiadzie, prędzej niż zwykle uczuć się im dała. Około dziesiątej z wieczora, sala Żywiecka, tak niedawno huczna i wesoła, stała się samotną i cichą.

2.

Około północy, o parę mil ztamtąd, ku stronie Karpatów w małej karczmie, kilkunastu ludzi także odprawiali biesiadę. Byli to Górale w tem miejscu zebrani. Zamiast kielicha

krażył cynowy kufel, a wódka zastępowała miejsce wina. Wszyscy już byli dobrze podochoceni. Czasem jeden z przytomnych odezwał się zagniewanym głosem i podobną wywołał odpowiedź, a wtenczas zdawało się, że już przyjdzie do kłótni; to znowu zaśpiewano różnego krakowiaka, często czkawką przerywanego. Był to początek upicia się. Jeden z nich, który dla jakiejś przyczyny mniej pił od innych i więcej przeto zachował przytomności umysłu, postrzegłszy że już przyszli do tego stopnia, że dosyć było parę kielisków jeszcze, ażeby im zupełnie przytomność odebrać, powstał i zawołał donośnym głosem:

— Dosyć tego, pobawiliśmy się, teraz do roboty!

Wszyscy powstali, jeden zatoczył się i powtórzył pijanym głosem: — Do roboty!

— Z taką głową — rzekł pierwszy — dalej do wody!

Wszyscy wybiegli na dziedziniec, otoczyli wznoszącą się na środku studnię, naciągnęli wody, jeden drugiemu wylał ceber na głowę i wszyscy prawie trzeźwi wrócili do karczmy.

— Ot tak, to co innego — rzekł Bartosz (ten co był najpierwej przemówił) — teraz to przecie zdacie się na co, a dotąd byliście ni do Boga, ni do ludzi.

To rzekłszy, spojrział na okno i syknął. Wszyscy wyszli na ulicę, Bartosz wskazał ręką na drogę Żywiecką i wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę.

Księżyc w pełni posuwał się z wolna po wypogodzonem niebie, żadna chmurka przelotem swoim blasku jego niećmiła i tak widno było jak we dnie.

Z lasu wytknął człowiek, nadzwyczajnej jak się zdawało wysokości; głowa jego równała się prawie z wierzchołkami sosen, a kroki potężne zbliżały go lotem błyskawicy do patrzących.

— Jezus, Marya, Józef! — zawołał młody chłopiec pomiędzy Góralami będący — czy to widmo, czy co takiego?

— Głupiś i wcale głupi! — odpowiedział Bartosz — wszak widzisz że to człowiek taki jak i my, a tylko na szczudłach idzie dla pośpiechu.

Zaledwo to wymówił, człowiek na szczudłach, który na początku odpowiedzi był jeszcze o pięćdziesiąt kroków, stanął przed nimi, co tchu zeskoczył na ziemię i półgłosem rzekł:

— Spieszmy się, śpieszmy, bo dziś czasu niema.

— Jaki? — zapytał Bartosz.

— Nie pytajcie się Bartoszu, wszak wiecie że ja nie bez przyczyny nierobię, muszę dziś prędko wracać; więc chodźmy.

— Chodźmy! chodźmy! — zawołało kilka głosów.

Wszyscy wpadli do karczmy, pobrali na długich toporach osadzone siekiery, pozawieszali je na plecach i znowu wrócili na drogę.

— Chodźmy! — powtórzył nowo przybyły, położył szczudła pod karczmę i ruszył w stronę przeciwną tej z której przyszedł, a cała czereda błyskając siekierami ruszyła za nim.

W godzinę potem, o małe pół milki od karczmy, w porządnym szlacheckim domku, przeraźliwy krzyk słyhać było. W sieni kilku ludzi powiązanych leżało na ziemi, a przy nich przechodził się poważnie Góral z siekierą w rękę i groził nią za każdym słowem, za każdym jękiem, który wyszedł z piersi którego z tych nieszczęśliwych. W salonie odbywała się okropna scena: kobieta z rozpuszczonemi włosami, w koszuli tylko, klęczała na ziemi, z rozpaczą prosząc o życie. Na rękę trzymała jedno dziecko, a drugie na wpół umarłe od strachu, obiema rączkami trzymało koszulę matki, i cisnęło się do niej jakby szukając ochrony.

— Zabierzcie wszystko — wołała nieszczęśliwa — życie nam tylko darujcie!

— Cicho, cicho! — odpowiedział spokojnie Góral, który był przyszedł na szczudłach — gdzie są pieniądze?

— Ot tam — rzekła kobieta pokazując na biórko pod ścianą stojące.

— Dobrze.

To rzekłszy obrócił siekiere tylcem, spuścił ją nagle, dziecko na ziemi będące zatrzepotało się, wyciągnęło nóżki i już się nieruszyło.

— Ratujcie! — zawołała przeraźliwie matka.

W tym momencie drugie dziecko uderzone w głowę, wypadło z rąk jej nieżywe. Na ten widok nieszczęśliwa matka zerwała się na nogi i jak lwica rozjuszona rzuciła się na Górala, lecz ten siekiere ostrzem obrócił i głowa biednej kobiety rozplatana na dwie części, nakryła ramiona. Nieszczęśliwa matka jakby po śmierci jeszcze zachowała instynkt macierzyński, poruszyła się po podłodze, wyciągnęła ręce, oboje dzieci przysunęła do siebie i skonała. Góral odjął jej kolczyki, pozdejmował pierścionki i zabrawszy co znalazł, wyszedł do swoich.

Widać że umówione było, iż jego pokazanie się było znakiem odejścia, bo jak tylko

drzwi otworzył świsnął przeraźliwie, a na ten głos wszyscy Górale po rozmaitych kątach rabunkiem zajęci, przybiegli, otoczyli powiązanych, siekiery podniosły się do góry, raz jeden spadły, i nikogo z domowych żywego już niebyło.

Potem ruszyli żywo do karczmy z której byli przyszli, zrabowane rzeczy między siebie rozdzielili, herszt wlażł znowu na szczudła i w oka mgnieniu zniknął w ciemnych lasu zakrętach.

Tymczasem w Żywcu gwałtem prawie zatrzymany pan Piotr, oka prawie niezmrużył. Przechodził się po swoim pokoju, co raz spojrzął to w okno, to na zegarek i niecierpliwił się że tak wolno idzie. Nareszcie dnieć zaczęło, Piotr wyskoczył z pokoju i leciał żeby prędzej kazać konie zaprządz i wyjechać, kiedy drzwi pokoju Margrabiego się otworzyły, a z nich wyszedł Paweł.

— Co to pan tak rano wstałeś? — rzekł do Piotra

Piotr wstrząsł się; ale w tym momencie jakby widokiem Pawła uspokojony, odpowiedział:

— Niemogłem spać w nocy, i chcę do domu odjechać.

— Cóż powie pan Margrabia, że pan tak bez pożegnania odjeżdżasz?

— Już go pożegnałem.

— A jednak kazał się obudzić, więc jeżeli pan koniecznie chcesz jechać, to pójdę go zbudzić.

Piotr zdawał się co raz bardziej uspokajać, jak gdyby pewność że Paweł z domu niewyszedł, wszystkie smutne oddalała od niego przeczucia, rzekł zatem:

— To za rano, wolę trochę poczekać.

To rzekłszy, wrócił do siebie mniej trochę moralnie trapiiony, zaczął czuć więcej fatygę, położył się na kanapie i tak twardo usnął, że już było blisko dziesiątej kiedy się obudził.

W tej samej sali, ciż sami biesiadnicy zawijali się około śniadania. Bernardyn już był spełnił kilka szklanek wina, tryumfując z zadziwienia przytomnych, kiedy Piotr pokazał się we drzwiach.

— Dziękuję ci panie Piotrze — rzekł do niego Margrabia — żeś przecie bez pożegnania nieodjechał. Siadajże — dodał usuwając trochę swoje krzesło i robiąc przy sobie miejsce Piotrowi.

Piotr usiadł, ale lubo spokojniejszy, nie mógł wczorajszej wesołości odzyskać. Naprawdę wszyscy zaczepiali go rozmaitemi ucinkami, napróżno tryumfujący Bernardyn wyzywał go na rozliczne zdrowia, pan Piotr

odpowiadał i pił naturalnie, myśli jego zdawały się być opodał ztamtąd, ale wiele razy tylko oczy jego na Pawła się zwróciły, wstrząsł się jak iskrą elektryczną uderzony.

— Uspokój się panie Piotrze — rzekł do niego po cichu Margrabia. — Lubo w przeczucia niewierzę, umiem cenić spokojność przyjaciela, i posłałem do twego domu dowiedzieć się jak się tam mają. Za godzinę będziemy mieli wiadomość, która spodziewam się wróci nam tego miłego i wesołego Piotra, któregośmy wczoraj stracili.

Kiedy to mówił, Paweł zbliżył się dla odmienienia talerza przed Piotrem stojącego, Piotr spojrzał, zobaczył przed sobą rękę Pawła, krzyknął i zemdlął.

Wszyscy zerwali się od stołu, otoczyli Piotra, a każdy chcąc go po swojemu trzeźwić, dodał nieproszone rady. Ten kazał go ciągnąć za wąsy, ten oblać wodą, ten nalać do ust wina, ten spalić pióro pod nosem, ale nikt nic nie robił. Margrabia nareszcie kazał go zanieść do jego pokoju, rozebrać i położyć w łóżku. A kiedy sądził że już rozkaz jego dopełnionym został, sam poszedł za Piotrem.

Czy to słabość sama przeszła, czy ruch i odmiana miejsca, lub też wygodne rozebranie

się pomogło, Piotr przyszedł już był do siebie, kiedy Margrabia wszedł do jego pokoju. Siedział na łóżku jak trup blady, z rękami założonemi na piersiach, ze spuszczonemi oczyma, i tak zatopiony w myślach, że nawet wejścia Margrabiego niesłyszał.

— Jak się czujesz? zapytał Margrabia.

Piotr wstrząsł się jakby ze snu obudzony, a postrzegłszy Margrabiego, zawołał:

— Wyjdźcie, wyjdźcie wszyscy! zostawcie mnie samego z Margabią.

Margrabia kiwnął ręką, wszyscy się oddalili, a on siadł na łóżku Piotra i zapytał łagodnie:

— Cóż mi chcesz powiedzieć?

Piotr porwał go za rękę, ucałował ją ze łzami i zawołał rozzwierającym głosem:

— Panie! na miłość boską nie odmawiaj mojej prośbie;

— Cóż takiego?

— Każ pan aresztować Pawła.

— Pawła? — zawołał zadziwiony Margrabia — za co? cóż on zrobił?

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście zrobił w moim domu!

— Panie Piotrze — rzekł Margrabia tonem wymówki — czy podobna! Człowiek tak rozsądny! Zresztą, zastanów się, Paweł

z domu niewyszedł, spał w moim pokoju, dziś ciągle jest na usługę.

— Prawda, ta uwaga uspokoiła mnie była, ale ten nowy wypadek....

— Jaki wypadek? — przerwał Margrabia.

— Kiedy talerz odmieniał, widziałem....

— Co takiego?

— Widziałem na palcu jego pierścionek mojej żony. Na rany Chrystusa zaklinam cię panie! każ go aresztować.

— Na jego palcu pierścionek żony — rzekł Margrabia, jakby do siebie mówiąc — to.... ale jakże to być może? — dodał głośniejszym głosem — z domu niewyszedł?

— Ja niewiem — rzekł Piotr — ale com widział to nie urojenie. Każ go pan aresztować!

— Poczekaj przynajmniej chwilę, — odpowiedział Margrabia — posłaniec mój wróci lada moment, a jeśli broń Boże twoje przeczucie się sprawdzi, to zrobię wszystko co zechcesz. Ale bez tej wiadomości, zastanów się! kazać aresztować czterdziestoletniego sługę, nie tylko bez dowodów, ale nawet bez słusznego podejrzenia o występki.

— A pierścionek? — zawołał Piotr.

— Mógł być dawniej skradziony, a całą winą Pawła być może, że go nieuważnie kupił.

Tych słów domawiał, kiedy drzwi się otworzyły, wszedł marszałek dworu i oddał list Margrabiemu. On go otworzył i zaledwo rzucił okiem, krzyknął gwałtownie:

— Okuć Pawła w kajdany!

Marszałek przerażony niezwykłym tonem pana, wyskoczył nagle dopełnić rozkaz, a Piotr krzyknął i padł na łóżko bez zmysłów.

3.

Kilka niedziel upłynęło, Pawła wywieziono do Cyrkułu, gdzie się proces jego odbywał, pan Piotr w grubej żalobie błakał się jak cień jaki po salonach w Żywcu, gdzie ciągle już bawił przyjaźnią Margrabięgo zatrzymany. Zresztą nic się nieodmieniło, dom zawsze pełen był gości dawnym trybem hucznie biesiadujących. Dnia jednego dał się słyszeć na ulicy gwar niezwykły; wszyscy zbliżyli się do okna i postrzegli wóz liczną wartą otoczony. Na nim siedział Paweł z ponurą miną, a przy nim znany nam Bernardyn.

— Wolałby wypić z nami — rzekł jeden z przytomnych dobrze już podochocony.

— Prawda że gracko pije — odezwał się drugi.

— Niezapomnę nigdy tego kielicha — rzekł trzeci.

Jeden po drugim zaczęli przypominać rozmaite wypadki pijackie, w których się Bernardyn odznaczył, zapominając całkiem o przyczynie obowiązku, który teraz dopełniał. Ale Margrabia niezapomniał przyjaciela.

— Gdzie jest pan Piotr? — zapytał.

— W swoim pokoju panie — odpowiedział marszałek dworu.

Margrabia odwrócił się do gości i rzekł:

— Wybaczcie że was opuszczam, idę do Piotra żeby niewyszedł i niepostrzegł widoku, któryby na nowo zranił jego serce.

To rzekłszy wyszedł z sali, a wszyscy biesiadujący wybiegli z pałacu i poszli za wozem.

Na środku miasteczka wystawione było rusztowanie; na niem stało ciężkie krzesło, a obok krzesła człowiek wysoki, chudy, silnie zbudowany, oparty był na szerokim mieczu i spokojnie spoglądał na ciżbę otaczającą rusztowanie. Wóz się zatrzymał, wysadzono Pawła okutego w łańcuchy, dwóch oprawców wzięli go pod ręce, wprowadzili na rusztowanie i przywiązali na poręczach krzesła. Bernardyn mówił coś do niego i modlił się, a on, ponury, ze zmarszczonem czołem, ze spuszczonej oczami zdawał się nieuważać tego. Po chwili wszedł na rusztowanie człowiek czarno ubrany, stanął przed Pawłem

i zaczął czytać mu dekret. W miarę jak czytał, słowa usłyszane przez najbliżej stojących przelatywały przez ciżbę: — Sypiał u Margrabiego!... Co nocy wychodził!... Na szczudlach!... Przededniem wracał!... Do wszystkich rozbojów należał! — i t. p. a jak przyszło do słów: — Sąd go skazuje na ucięcie głowy! — rozległ się szmer głośny i w moment głęboka nastąpiła cichość. Paweł tylko ruszył się gwałtownie, ale krzesło mocno przytwierdzone ani drgnęło. Bernardyn przystąpił do Pawła, jeszcze słów kilka przemówił do niego i zbliżył mu do ust krucyfiks, ale Paweł odwrócił głowę i niechciał go pocałować. Bernardyn odstąpił, jeden z posługaczy zawiązał oczy Pawłowi i zaledwo o krok się oddalił, miecz błysnął w powietrzu a głowa Pawła potoczyła się po rusztowaniu.

Wszyscy zgrozą przejeści, zaczęli się oddać w ponurem milczeniu, Grzegorz tylko ruszył ramionami, plunął, mruknął półgłosem: — Szoldry Niemcy, djabie pomogło że ten Góral wisi! — a po chwili dodał: — Biedne moje państwo! — Izy otarł, i wyprzedzając wszystkich pobiegł do zamku.

Zaledwo Janusz domawiał słów ostatnich, dało się słyszeć za drzwiami mocne krzákąnie i wkrótce pokazał się pan Władysław zapraszając na examín.

Jakkolwiek to nagłe przejście od tragicznego do komicznego wypadku niemilem było, niemogłem jednak niepostrzedz naglej odmiany na twarzy Janusza. Powaga i rozczerzenie które się na niej w czasie opowiadania malowały, znikły, żadnego po sobie niezostawując śladu, a na ich miejsce pokazał się ironiczny uśmiech, i jakaś że tak powiem gotowość do błaznowania.

— Idziemy — zawołał — idziemy, zapewne powiesz nam co o kołysanej nawie?

— Kiedy ty się usatkujeś? — odpowiedział poważnie Władysław i dodał: — służę panom.

Poszliśmy więc za nim do nędznego domu na szkołę przeznaczonego, i weszli do obszernej izby napelnionej ławkami. Goście siedli na jednej stronie, ze dwudziestu obdartych zaków na drugiej, a jedyny Professor, prawdziwy tausend Künstler, który uczył wszystkiego, stał około wielkiej świeżo poczernionej tablicy. Wszyscy powstali a pan Władysław wystąpił naprzód, krzáknął, obejrzał się i rzekł:

— Szlachetna młodzi! Jak nawa na rozbujanych bałwanach!....

Tu spojrzałem na Janusza, który zaczął ruszać rękami udając pływanie. Ja zagryzłem wargi, ale Jan mniej wstrzemięźliwy parsknął od śmiechu. Pan Władysław krząknął, uderzył się po brzuchu, spojrzał na Jana i poważnie znowu do studentów się zwróciwszy, zaczął decapo.

— Szlachetna młodzi! Jak nawa na rozbujanych falach potrzebuje... hum hum, potrzebuje sternika, tak szkoła w zapasach z naukami potrzebuje....

— Bałwana! — szepnęła Janusz.

— Bał... — rzekł Władysław — hum hum, potrzebuje Professora. Macie go, szlachetna młodzi! ucicie się, a pamiętajcie na tę wielką francuzką prawdę: *qui s'éduque, se produque!* hum hum!

Po chwili dodał:

— Zaczniemy od francuzkiego języka. Chodź waspan tutaj — rzekł pokazując na jednego z żaków, który drząc cały wstał i przybliżył się do niego.

— Umiesz waspan po francuzku?

— Umiem panie.

— Cóż to ja powiedziałem?

— Niewiem panie.

— A cóż waspan umiesz?

— Umiem bajki francuzkie.

Władysław porwał tom Lafontena, otworzył go i pokazując na jedną bajkę, rzekł:

— Tłómacz waspan.

Chłopiec zalekniony wziął książkę i zaczął czytać: — *Le singe et le perroquet.*

— Cóż to znaczy?

Chłopiec podrapał się w głowę, spojrzał po nas, jakby czekając ratunku i rzekł wreszcie: — Małpa w peruce.

— Hum hum! co, małpa w peruce? — zawołał Władysław mimowolnie dotykając się swojej peruki. — Głupiś waspan!

Jan znowu parsknął od śmiechu, a Władysław rzekł poważnie:

To odejmuje śmiałość, tak pan chłopca zmieszalesz, że teraz napróżno go o cokolwiek pytać. Niech drugi przyjdzie!

Wystąpił żak inny.

— Co waspan umiesz?

— Bajki Krasickiego.

— Gadaj waspan o Czyżyku.

Student płaczącym głosem zaczął cedząc słowo po słowie:

— Czegóż płaczesz... staremu... mówił... czyżyk... młody — Lepsze dzisiaj hum, hum, lepsze tutaj niż w polu... hum hum... masz

w klatce wygody. W klatce wygody... wygody... hum hum... wygody.

— Cóż dalej? — zawołał zniecierpliwiony Władysław.

— Wygody... — powtórzył płaczliwie student i dodał: — Ojciec różgi nieznalazł i kijem go obił.

— Głupiś waspan! Niech drugi powie tę bajkę.

Wystąpił inny i przecie szczęśliwie dokończył czyżyka.

— Dobrze młodzieńcze! dobrze! — rzekł Władysław — wyjdiesz na ludzi, *qui s'éduque, se produque!*

Wymierzywszy tę sprawiedliwość, pan Władysław otarł czoło i rzekł: — Przystąpimy do examinu z muzyki.

Zadrzałem, spodziewając się jakiegoś fałszywego i nieznosnego rzępolenia, ale szczęściem rzecz cała skończyła się na słowach. Wystąpił malutki studencik, a Władysław zapytał groźnie:

— Wiele stron na skrzypcach?

Malec zaczął liczyć na palcach: — Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć....

I byłby może Bóg wie jak daleko zajechał, ale Władysław zawołał z oburzeniem:

— Głupiś waspan! niech drugi przyjdzie.

Wyszedł drugi.

— Wiele stron na skrzypcach?

— Cztery, panie — odpowiedział śmiało chłopiec.

— Zgadł! zgadł! — zawołał ucieszony Władysław.

— A kolków? — zapytał Janusz.

Chłopiec pomyślał trochę i odpowiedział:

— Także cztery.

— Brawo! brawo! — zawołał jeszcze energiczniej Władysław, pogłaskał studenta po twarzy, i rzekł poważnie: — Masz talent młodzieńcze, uprawiaj go, ucz się pilnie, a może kiedyś będziesz wirtuozem.

Po chwili spoczynku zapowiedziano examinu z arytmetyki. Na to Janusz powstał i zapytał czy goście mogą dawać zapytania.

— I owszem! i owszem! — odpowiedział Władysław — pragniemy jawnie postępy nasze przytomnym gościom okazać.

— Piszże waspan! — rzekł Janusz do stojącego już przy tablicy studenta z kredą w ręku. — Pewien kupił u drugiego soli.

— Hum hum! — odezwał się Władysław.

— Płacił garniec po piętnaście groszy, i dał sto złotych; wieleż powinien mieć soli?

Student wziął kredę, pisał, mazał, liczył, nakoniec rzekł:

— Powinien mieć dwieście garncy soli.

— Nie prawda — rzekł Janusz.

Student co tchu zmazał swój rachunek i zaczął go na nowo, po chwili rzekł znowu:

— Dwieście garncy, panie.

— Nie prawda, — odpowiedział Janusz.

Spojrzałem przypadkiem na Władysława: był to błądy, to czerwony i co raz z ambasasu perukę to na prawo, to na lewo przeciągał. Domyśliłem się, że ten rachunek ma z nim jakąś styczność i ciekawie oczekiwałem końca. Chłopiec raz jeszcze przeliczył i rzekł:

— Dwieście garncy, panie!

Nie prawda — odpowiedział spokojnie Janusz.

Na to trzecie zaprzeczenie, Professor zniecierpliwiony zerwał się i rzekł:

— Na cóż pan chłopca баламucisz, kiedy on ma racją. Powinno być dwieście garncy.

— Nie prawda — odpowiedział Janusz — spytajcie się pana Wizytatora. Kupiłem u niego sól po piętnaście groszy, dałem sto złotych, odebrałem sto ośmdziesiąt garncy, więc to tak być musi; wszak sam pan Wizytator nie mógł się pomylić.

Całe towarzystwo parsknęło od śmiechu.

— Hum hum! — odezwał się Władysław i tą razą tak silnie perukę na prawo pocią-

gnął, że pokazał się łeb upstrzony czarnymi kresami.

Wszyscy na nowo śmiać się zaczęli, nakoniec i sam Władysław dopomógł. Jak przeszła ta wesołość, wrócono do egzaminu, który już nic godnego wspomnienia nieprzedstawił i stał się tak nudny, żeśmy pod koniec prawie byli uśpieni.

Po dwugodzinnej nudzie, przystąpiono do rozdawania nagród. Wniesiono stół, na nim postawiono dwa talerze, jeden z figami, drugi z rodzynkami; Władysław wywołał na bok wybranych celujących uczniów, dał każdemu szczyptę rodzynków i figę, potem w krótkiej allokucyi wspomniawszy o kołysanej nawie, zakończył znaną maxymą: — *qui s'éduque, se produque*.

Ucieszeni zakończeniem egzaminu, porwaaliśmy za kapelusze i już mieliśmy wychodzić, kiedy dało się słyszeć mocne trzaskanie z bicia, a w moment potem zobaczyliśmy pyszny pojazd sześcią końmi zaprzężony, który zatrzymał się przed szkołą. Skoczyliśmy ciekawie do okien i zobaczyliśmy pana Suskiego wysiadającego z pojazdu. Władysław poskoczył ku drzwiom na przyjęcie gościa. Pan Suski wszedł, rzucił z ramion płaszcz którym dla dosyć mocnego chłodu był obwinięty i

zajaśniał we drzwiach w suto haftowanym akademickim mundurze. Skłonił się nam, spojrział około siebie, a zobaczywszy stół i resztki fig i rodzynek, zawołał:

— Późno przyjeżdżam, ale to nic. Wszystko dobrze, są nagrody.

— Nie źle nam poszedł examin — odezwał się Władysław. — Gdybyśmy wiedzieli że tak dostojnego gościa akademika będziemy mieli świadkiem postępów naszych, tobyśmy zaczęli.

— Bardzo żałuję — odpowiedział pan Suski, wyraźnie o czym innem myśląc.

— Ale jeśli pan pozwoli — dodał Władysław — to możemy na nowo zacząć, to młodzieży niezaszkodzi, i wiem że wszyscy chętnie zgadzają się na moją propozycję.

To rzekłszy, spojrział na nas i na uczniów, ale nikt nie nieodpowiedział i żaden z nas nawet kapelusza z rąk niepuścił.

Tymczasem pan Suski z ciepłego płaszcza wyszedłszy, zaczął czuć zimno, czasami mimowolne wstrząśnienie i ruch ramion wyraźnie to okazywały; chciał jednak coś powiedzieć, ale nie wiedział od czego zacząć; uchwycił więc propozycję Władysława za punkt wyjścia i rzekł:

— Nie trzeba! ten głupi Luft jak zaczął mi

dzisiaj grać Krajcyca, tak zapomniałem się i późno wyjechałem.

— To może pan przynajmniej zada parę pytań? — rzekł Władysław.

— A dobrze.

Lecz w tym momencie dreszcz go przeszedł, i tym uczuciem przejęty, zapytał:

— Cy u was tu niepalą?

Jeden z studentów lepiej ubrany od innych, i niewiem czemu w czasie examinu o nic nie-zapytany, wystąpił naprzód. Minę miał wesolą i sprytną, czasem oczami zdawał się porozumiewać z Januszem, i widać było po śmiałości ruchów, że w niczem do kolegów swoich niepodobny, czuje swą wyższość i wie że może sobie pozwolić żartu, któryby żadnemu innemu z uczniów nieuszedł; przybliżył się więc do pana Suskiego i rzekł:

— Czy nie palą? Oj palą panie, palą, ale w skórę!

Na te słowa śmiech homeryczny rozległ się po szkole. Pan Suski obiema rękami brzuch trzymając, zachodził się prawie. Nareszcie rzekł z trudnością:

— Tęgiś, tęgiś chłopce! Ale — dodał — examin skończony, w sali zimno, więc dosyć tego. Idźmy do domu.

Zaledwo wyrzekł te słowa, żaki się sy-

pnęły, jakby bojąc się jakiej nowej propozycji pana Władysława, my ruszyliśmy za nimi, i w moment potem znaleźliśmy się w salonie pana Podkomorzego.

Spodziewałem się pocieszenie resztę dnia przepędzić, ale zawiódłem się w moich nadziejach. Pan Suski może dla tego że był w mundurze, poważnie milczał. Gospodarz o żadnym umyślnym niewspomniął; pan Władysław żadnej uczonej rozprawy nierozpoczął, jakby wyczerpawszy już dnia tego całą erudycją pod peruką jego ulokowaną. Milczenie kiedy niekiedy nic nieznaczącem słowem przerwane i na damy wpłynęło; Jan nawet siedział w kącie zamyślony. Słowem tak było nudno, że byłbym pomimo spóźnionej pory odjechał, gdybym się niebał dać przez to poznać jak byłem znudzony. Wkrótce zajechał pojazd pana Suskiego, który pożegnawszy nas uprzejmie, odjechał.

Widać że jego przytomność zenowała wszystkich, lubo jako prawdziwie zacny człowiek bardzo był poważany i kochany, bo jak tylko wyszedł z salonu, Jan przyskoczył do mnie i zawołał:

— A cóż panie, jak się podobał tutejszy *examin*?

— Wyborny! — odpowiedziałem mimo-

wolnie się uśmiechając i oglądając się, czy mię czasem pan Władysław niewidzi.

— Jaki przedni ten Janusz! Ta historia o soli wybornej, ha! ha! ha!

— Wyznaję — odpowiedziałem — żem się szczerze uśmieł, ale jednakże wolałbym żeby się było bez tego obeszło.

— A to dla czego?

— Bo to rzuciło śmieszność niezmierną i na *examin* i na Władysława, który jednakże w najlepszych intencjach tę szkołę założył, a dobre intencje zawsze na uszanowanie zasługują.

— Prawda, prawda — rzekł Jan — ale... niechno pan patrzy.

Zwróciłem głowę za wzrokiem Jana i zobaczyłem pana Podkomorzego i Janusza siedzących przy małym stoliku i grających w *maryasza*. Za Podkomorzym stał mały chłopiec, na przyjazd pana Suskiego po turceku ubrany i głośno mówił jakie Podkomorzy bierze karty. Janusz uśmiechając się, grał stosownie do tych *anonsów*, a Podkomorzy dobrze głuchy, co raz podnosił ramiona, jakby dziwiąc się trafności z jaką gra jego przeciwnik. Nareszcie raz, kiedy mu Janusz ostatnie sześć kart odbierał, zniecierpliwiony Podkomorzy zawołał:

— Zec osobliwsa, WPan tak gras jakbyś patsył w moje karty.

To rzekłszy odwrócił głowę i postrzegłszy Turka który niemógł się wstrzymać od śmiechu, domyślił się sztuki i porwawszy go za ucho, wyprowadził za drzwi, wołając:

— Pocekaj smarkacu!

Wyznaję, że ten concept zdawał mi się wychodzić za pozwolone granice żartu. Jan zapewne postrzegł to, bo rzekł:

— Biedny Janusz niepozbył się pańszczyzny!

— Jak to?

— Wiele razy tu przyjedzie, musi z teściem po całych wieczorach grać w maryasza, tem nudniejszego, że darmo; i zdawało mu się, że jak przez cały tydzień będzie wciąż wygrywać, Podkomorzy się zniecierpliwi i innego sobie partenera obierze, a teraz Turek pomieszał mu plany.

Z tego punktu widziana rzecz była tylko śmieszna, oświadczyłem więc Januszowi żal mój, że mu się sztuka nieudała — a że już nadzedł przecie moment, w którym można było pożegnać, skutecznie to natychmiast i odszedłem do przeznaczonego mi pokoju.

Na stole zastałem kopiją mowy pana Władysława z napisem, że w dowód wyso-

kiej czci i upoważania, Autor mi ją ofiaruje.

Jakkolwiek mowa była nieciakawa, intencja była uprzejma dla mnie. Napisałem więc dziękując za pamięć o mnie i najwyższą przyjemność jaką mi posiadanie tak szacownego rękopismu sprawuje. Bilecik mój położyłem na stole aby go nazajutrz oddano; potem zaleciwszy Piotrowi aby mię o piątej z rana obudził i przygotował się do drogi, położyłem się nie bez obawy aby mi sen nieprzedstawił jakich wypadków dnia upłynionego. Szczęściem nieprzyśniły mi się ani pani Jelizkowa, ani examin. Spałem wybornie, i nazajutrz dobrze wypoczęty, gotów już byłem do dalszej podróży, kiedy Piotr stosownie do odebranego rozkazu zajechał przed ganek.

XIV.

Jakkolwiek rad byłem powrócić do domu i odpocząć po tak długiej podróży, jednakże przyzwoitość kazała wstąpić do Stajniowa, który był prawie po drodze. Jeszczem był nieodwiedził państwa Listerów, którzy dalsze odwleczenie mojej wizyty mogliby byli wziąć

słusznie za niegrzeczność. Lubo więc z tego co o nich w różnych miejscach i od różnych ludzi słyszałem, wołałbym był Stajniów ominąć, powiedziałem Piotrowi że chcę tam być na noc. Ruszyliśmy przeto w tę stronę. Ujechawszy tęgich mil cztery, przybyliśmy do małej wioseczki bagnem otoczonej i tak schowanej w lesie, że trzeba było wjechać w nią, ażeby ją postrzedz. Mała karczemka pokryta słomą, na której różne zielska formowały jakby ogród, niezachęcała do popasu, ale konie moje przebywszy długie i głębokie piaski, koniecznie potrzebowały odpoczynku, kazałem więc zajechać ażeby ich popasć. Wysiadłem z pojazdu i wszedłem do dużej, brudnej, dymem okopconej izby. Gospodyni krzątała się około pieca, a sam gospodarz zwany jak się później dowiedziałem Icek, robił kredą na stole obrachunki z pijanemi chłopami. Przy kominie siedział na grubej dębowej ławie żyd jakiś, średniego wieku, w białym żupanie i białej jarmółce. Tak głęboko był zamyślony, że ani głową nieruszył kiedyś skrzypiące drzwi otworzył i wszedł do izby

Zbliżyłem się naprzód do stołu. Pod ścianą siedziało kilku chłopów, a naprzeciw stał Icek i gadał:

— Pamiatajesz Iwane, pred sredopistem try kwarty horyłki, to try.

I to mówiąc pociągnął po stole trzy razy kredą. Zdziwiłem się, że sześć znaków zrobił; zbliżyłem się więc jeszcze i postrzegłem że kreda miała podwójny koniec. Żyd dalej mówił:

— Na wesele twoho syna, piat kwart, to piat.

I znowu pięć razy pociągnął kredą i zrobił znaków dziesięć. Tak dalej liczył i pisał, narreszcie skończywszy, pociągnął chłopca za rękę; ten otworzył na w pół spiące oczy i mruknął: — Ha!...

— Na tobi — rzekł arendarz — tryccat kwart horyłki, pamiatajesz?

— Pamiataju pane arendaru.

— No pamiatajże, tryccat.

— Tryccat — powtórzył Iwan ziewając, oparł głowę na stole i zaczął chrapać.

Po tej ceremonji żyd tymże samym sposobem i z tym samym skutkiem przeszedł wszystkich chłopów, każdemu podwójną ilość zawinionych kwart wódki policzył, kazał im kilka razy tę ilość powtórzyć, i pewien że im po wytrzeźwieniu zostanie w pamięci, usunął się.

Zadziwiony i słusznie oburzony takiem

oszukiństwem, chciałem wymówić żydowi jego łotrowstwo i już się w tym celu zbliżałem, kiedy żyd pod piecem siedzący jęknął, wziął się obiema rękami za głowę i zaczął nią ruszać na prawo i na lewo wołając: — Aj wej! aj wej!

Ten widok wybił mi z głowy arendarskie rachunki i co tchu zapytałem:

— Co to jest? Czy ten żyd zasłabł nagle?

— Ni panie — odpowiedział arendarz — to win taki nauczny.

— Jak to nauczny?

— Win taki mądry.

— Czegoż jęczy?

— To win tak sobie.

— Jak to?

Nu! jak co wymyśli, to win tak sam się dziwuje!

Ciekawość mię wzięła dowiedzieć się co on takiego wymyślił; zbliżyłem się więc i zacząłem mówić do niego, ale jakby mię niewiedział i niesłyszał, ani spojrzał w tę stronę.

— Czy głucho-niemy? — zapytałem arendarza.

— Ni panie, ale win z pokolenia Lewi, to win z każdym negada; ale niech pan poczeka.

To powiedziawszy, zaczął coś gadać po żydowsku. Mędrzec słuchał długo, nareszcie

zwrócił ku mnie oczy. Czy arendarz go uprosił, czy mu się moja fizygnomija podobala, niewiem, ale kiwnął głową poważnie, i rzekł wzdychając:

— Tego nicht niewie, chyba sam Pan Bóg!

— Czego? — zapytałem.

— Co ja sobie myślę.

— Cóż to takiego?

— Pan bardzo ciekawy.

Na to, znowu arendarz po żydowsku zagadał, mędrzec kiwnął ręką protekcyonalnie i obróciwszy się do mnie, rzekł:

— Nu, niech pan posłucha, ale i pan tego niewie!

Ciekawość moja tak długo niezaspokojona, zaczęła w gniew się zamieniać, i byłbym może złajał żyda, ale on, czy to postrzegłszy, czy też osądziwszy że już czas co powiedzieć, powtórzył:

— Niech pan posłucha — i tak dalej mówił: — Żeby wszystkie góry była jedna góra! Niechno pan słucha!... Była jedna góra. Żeby wszystkie wody była jedna woda i żeby ta woda była pod tą górą. Żeby wszystkie drzewa było jedno drzewo i żeby to drzewo rosło na tej górze. Żeby wszystkie ludzie był jeden człowiek, a wszystkie siekiery była jedna siekiera; i żeby ten człowiek wziął tę

siekierę i zwał to drzewo, a to drzewo wpadło w tę wodę, jakiby to był plusk! Aj wej, aj wej! — dodał biorąc się znowu za głowę i kiwając nią w prawo i lewo.

Arendarz widząc to, zaczął także wołać: — Aj wej! aj wej! — Ja milczałem zadziwiony takim stopniem głupstwa, a żyd wzięwszy to zapewne za zdumienie nad jego mądrością, przestał kiwać głową i dodał z tryumfującą miną:

— A prawda że i pan tego niewie, to tylko sam Pan Bóg może wiedzieć!

Po chwili arendarz zawołał:

— Win to nie pierwszą już taką rzecz wymyślił co jej nikt niewie!

— I taką mądrą zapewne jak i ta? — zapytałem.

— Taką samą.

— Cóż to było?

— Nu, win sobie pomyślił, jakby niebo spadło na ziemię, gdzieby się wróble podzieli?

Na to mędrzec jęknął boleśnie, jakby użalając się nad losem wróbli, a ja zawołałem:

— Co za głupiec!

Mędrzec przybrał poważną minę i rzekł:

— Kiedy ja głupiec, to niechże pan powie gdzieby się podzieli, albo jaki byłby plusk?

— Niewiem — odpowiedziałem śmiejąc się.

— A widzi pan! za cóż ja głupiec?

Wyznaję, że pomyślałem sobie, że tą razą żydowi się udało; powiedziałem mu więc, że jak znowu będę kiedy przez tę wieś przejeżdżać, to poproszę go aby mi głębokie myśli swoje zakomunikował, a tymczasem o tych które teraz słyszałem, będę się namyslać.

— Niech pan myśli, ale to na próżno, bo to sam Pan Bóg tylko może wiedzieć!

Na te słowa wszedł Piotr, oznajmując że konie już popasione, wsiałem więc do pojazdu i ruszyłem dalej. Spodziewałem się dnia tego stanąć w Stajniowie, ale na jednym z tak nazwanych przez Piotra niby mostków, koń wsadził nogę pomiędzy dwa kraglaki i tak ją zwicznął, że ani kroku stąpić niemógł. Szczęściem, było to bardzo blizko od małej wioseczki; na niewielkim wzgórku białł schludny, czerwoną dachówką pokryty murowany dworek; dwie oficyny wznosiły się po obu bokach dziedzińca, ozdobionego ogromnym kłębem. Z tyłu domu widać było obszerny ogród, a wszystko opasywały tak nazwane sztachety, na wysokiem podmurowaniu stojące. Ucieszył mię ten widok porządku i dostatku, tem bardziej że miałem nadzieję w tym dworze przepędzić resztę dnia i wieczór; że jednak nieznałem gospodarzy, kazałem zaje-

chać przed karczmę dla powzięcia języka. Ledwo się pojazd zatrzymał, postrzegłem parokonnny wózek zbliżający się tęgim klusem dwóch silnych koni. Siedzący na nim podróżny poznał z daleka czy mnie, czy mój pojazd, stanął na wózku i zaczął machać kaszkietem; nareszcie wózek zwrócił się ku karczmie i jeszcze niestanął, kiedy wyskoczył z niego Jan Sokulski. Nigdy spotkanie niemogło być przyjemiejszem.

— Jak się masz Janie? — zawołałem z radością. — Jakież wiatr szczęśliwy przyniósł cię tutaj?

— Jechałem właśnie do Jastrzębskich, ale postrzegłszy pana zwróciłem do karczmy.

— Więc właściciele tutejsi zowią się Jastrzębscy?

— Tak jest.

— Jacyż to ludzie? Mnie koń się skaleczył i sam niewiedząc co robić do jutra, miałem ruszać do dworu, gdybym nawet miał być i źle przyjętym.

— Gdzież tam, to najpoczeiwszi ludzie; szczęśliwi będą że ich pan odwiedzisz.

— Dziwię się, że w żadnym domu niesłyszałem nic o nich.

— Cóż pan chcesz. On był pisarzem prowentowym, uzbierał sobie kilka tysięcy, wziął

posessyą na której zarobił; wziął więc drugą większą, potem jeszcze większą, i dorobiwszy się parękroć sto tysięcy, kupił tę wioskę, wymurował dworek, gospodaruje i powiększa majątek. Ona, córka Ekonoma z tej właśnie wioski, gdzie mąż jej był prowentowym pisarzem, także dobra gospodyni, ale nie bardzo okrzesała, nieśmieją więc nigdzie bywać. Przyznam, że i ja parę razy tylko byłem u nich i to jakby przelotem.

— Ależ z tego com dotąd widział — rzekłem — sędzę, że byle mieli zdrowy rozsądek i cokolwiek przyzwoitości w obejściu, to bardzo dobrze mogliby wszędzie się pokazać.

— Prawda, ale jej się zdaje, że trzeba bardzo wiele na to, żeby gdzie śmiało pojechać. Już uczyła się po francuzku i prawie zawsze tym językiem chce mówić, a że się mało co nauczyła, więc w oczach ludzi starannie wychowanych jest śmieszna, a tym co podobne jak ona mają wychowanie, wydaje się chcącą wywyżżyć się nad nich i dumna. Ma dwie córki, przyjęła do nich guwernantkę szczególnie do francuzkiego języka, ale podobno że i guwernantka tak mówi jak sama pani.

— Jakże mąż przecie niewyperswaduje tej śmieszności?

— To pocziwe człowieczysko zna się na życie i pszenicy, a że nierozumie co żona gada obcym językiem, więc ma ją za bardzo uczoną, i cieszy się.

Tak rozprawiając szliśmy pomału, i właśnie kiedy Jan domawiał tych słów, znaleźliśmy się w sieni mieszkania pana Jastrzębskiego. Drzwi do salonu były uchylone, szliśmy więc w tę stronę, kiedy cienkim głosem zawołano:

— *Venez ma chère que je vous coupe la tête.*

— To mówi guwernantka — rzekł Jan.

Wtem grubszy głos się odezwał:

— Co to waspanna mówisz do mojej córki?

— Pani kazała głowę Zosi ostrzydz.

— Dobrze, dobrze; to djabli nadali że ja nic nierozumiem tego baraniego języka.

Zastukawszy we drzwi, weszliśmy. Pan Jastrzębski siedział z opartą głową na rękę, a przed nim leżał berdyczewski kalendarz z powklejanymi białymi kartkami; pióro w kalamarzu moknące, dawało się domyślać, że dziedzic świeże jakieś robił notatki. Postrzegłszy nas wstał żwawo, powitał Jana, a dowiedziawszy się kto jestem, zawołał:

— Wielki to dla mnie zaszczyt, że nas JWpan nawiedził. Zaraz poślę uwiadomić moję babę, która jest w ogrodzie.

— Niech pan dobrodziej nieprzerywa spaceru pani.

— A nigdyby mi nieprzebaczyła, żebym jej nieuwiadomił.

To rzekłszy wyszedł i za chwilę wrócił.

— Jakże to pan — zapytał — zabłądził w nasze strony?

— Jadę z Dażna — odpowiedziałem — koń nogę wywichnął, więc musiałem się zatrzymać i korzystając z tego, chciałem poznać pana dobrodzieja.

— Koń nogę zwichnął! — zawołał zrywając się z krzesła pan Jastrzębski — czy dawno?

— Niema jeszcze pół godziny.

— Niechże pan będzie spokojny, jeśli noga nie bardzo jeszcze spuchła, to jutro ani śladu wywichnięcia niebędzie. Mamy na to nieocnionego człowieka i zaraz go poślę.

To rzekłszy wybiegł i ledwo parę minut zabawiwszy, powrócił.

— Posłałem już — rzekł — Iwana, niech się pan nieturbuje, wszystko dobrze będzie.

Ujęty tą serdeczną uprzejmością, szczerze mu podziękowałem.

— Niema za co! — rzekł — niema za co!

— Jakże tam gospodarstwo? — zapytał Jan.

— Idzie jako tako — odpowiedział pan Jastrzębski.

Po tym początku wdaliśmy się w gospodarską gawędę. Po pierwszych słowach poznałem czynnego i praktycznego człowieka. Co raz dla własnej nauki wrzuciłem jakie pytanie, on odpowiadał jasno i rozsądnie, bez uprzedzeń, nieodrzucał nowych wynalazków, ale radził ostrożnie z nimi postępować. Słowem zrobił nam jakby kurs gospodarstwa, a to tak po prostu, tak przekonywającym sposobem, że anim postrzegł jak godzina upłynęła i szczerze zawolałem:

— Jak też rad jestem, że się musiałem tu zatrzymać i że mogłem poznać i słyszeć pana.

Pan Jastrzębski skłonił się, na twarzy jego widać było przyjemność jaką mu słowa moje sprawiły, i rzekł:

— Cieszę się zem pana nieznudził, bo ja człowiek prosty; co mówiłem to wiem nie z nauki, ale z doświadczenia.

— Dla tego też co pan mówisz tak jest przekonywające i prawdziwe.

Pan Jastrzębski chciał coś odpowiedzieć, ale drzwi się otworzyły i weszła pani Jastrzębska z córką. Odedrzwii jeszcze rzekła dygając:

— *Mon comte! bien contente!*

Śmieszność do której byłem przygotowany i która wyznaje obudziła była we mnie nadzieję pośmiania się, przykrą mi się wydała

po poznaniu pana Jastrzębskiego, którego uprzejmość, gościnność i rozsądek szczerze oceniałem. Podszedłem więc co tchu do pani i po polsku zacząłem z nią mówić. Widać że to musiało zrobić na niej wrażenie, bo przez czas dosyć długi kiedy niekiedy wyrwała się z francuzkiem słówkiem, jakby dla dania tylko poznać, że gdyby chciała, toby mogła mówić inaczej jak po polsku. Jużem myślał że tak ciągle będzie, kiedy pani obracając się do córki, rzekła:

— *Mā fille dites ā l'autre mā fille qu'elle ĩci aprēs lā tēte coupée.*

Córka wyszła dopełnić danego zlecenia, a pani Jastrzębska zwróciła się do mnie i dodała:

— *J'ai fait couper lā tēte ā l'autre mā fille.*

Zagryzłem wargi i rzekłem:

— Przepraszam panią że po polsku mówię, bo mój towarzysz nierozumie po francuzku.

Pani Jastrzębska trochę się zmieszła i rzekła z zadziwieniem:

— Ja myślałam że pan Jan mówi po francuzku.

— Już zapomniałem — odpowiedział Jan przychodząc mi w pomoc i zapewne temże samem co i ja uczuciem powodowany.

W domach gdzie bywam zawsze mówią po polsku.

— I w Dażnem? wszak pan Władysław....

— Z nami i pan Władysław mówi po polsku.

Czy pani Jastrzębska zrozumiała tę naukę, czy też w samej rzeczy uwierzyła, że ja jeden bym ją tylko rozumiał, co by było niegrzecznie dla drugiego gościa, już od tej chwili mówiła z nami po polsku. Z językiem wróciła jej naturalność i prostota; słowem zamiast śmiesznej i przesadnej kobiety, zobaczyliśmy dobrą żonę i matkę, uprzejmą i gościnną gospodynię. Mąż jej zachęcony uwagą naszą, jeszcze nam niektóre szczegóły gospodarskie tłómaczył; ona często mieszała się do rozmowy, a zawsze rozsądnie i trafnie. Czas nam szybko uchodził tak, że zdziwiliśmy się jak dano wiedzieć, że kolacya na stole. Cała śmieszność pani Jastrzębskiej zasadzała się na pretensyi do francuzkiego języka, bo w niczem więcej affektacyi niebyło. Kolacya składała się z potraw prostych, ale czysto i smacznie zrobionych; widać było dostatek i za możność, ale przy tem żadnego niezgrabnego naśladowania stołów wykwintnych; wino było dobre, ale gospodarz nieuprzykrzał się, żeby go koniecznie pić wiele; każdy jadł i

pił wiele chciał, to też wstaliśmy od stołu nasytzeni, lekcy i w dobrych humorach. Zaledwo wróciliśmy do salonu, wszedł Iwan z raportem, że koń mój będzie mógł naza jutrz iść w drogę, gdyż noga była tylko stłuczona ale nie zwichnięta i jest dobrze opatrzona.

— Chciałem wyjechać jutro bardzo rano — rzekłem do pana Jastrzębskiego — ale poznawszy państwa, przykroby mi było odjechać bez pożegnania; jeżeli więc pozwolicie, przyjdę jutro pożegnać, i raz jeszcze za uprzejmą gościnność waszą podziękować.

Państwo Jastrzębscy mile to oświadczenie moje przyjęli, i widać było ukontentowanie z przekonania, że umiem ich ocenić. Rozmawialiśmy jeszcze z pół godziny; lubo radbym był przedłużyć wieczór, jednakże pomału że gospodarze zapewne rano wstają, a zatem wcześniej spać idą, pożegnałem ich. Pan Jastrzębski wziął świecę i wyprowadził mię do sieni, tam serdecznie uściśnąłem go za rękę i zwróciłem się ku drzwiom prowadzącym na dziedziniec, ale pan Jastrzębski pokazał ręką na prawo i rzekł:

— Tędy panie, tędy.

Myślałem że w wieczór inne jakie jest wyjście, poszedłem więc za nim. On drzwi

otworzył i wprowadził mię do schludnego pokoiku, w którym zobaczyłem posłane łóżko i Piotra śpiącego na krześle przed kominem, którego płomień oświecał pokój. Mimowolnie zastanowiłem się we drzwiach, a pan Jastrzębski rzekł:

— Pewien byłem, że pan niezechcesz nam zrobić tej krzywdy, żeby obok naszego domku nocować w brudnej karczmie, więc kazałem imieniem pańskim powiedzieć służącemu, żeby tutaj rzeczy przyniósł.

Czule mu za ten nowy dowód uprzejmości jego podziękowałem, i jak tylko wyszedł, dowiedziałem się, że nie tylko moje rzeczy, ale i konie kazał do dworu przyprowadzić i dać im zupełną wygodę.

Nazajutrz chętnie dałem się zatrzymać na objad, bo mi zostawało dość czasu, żeby na wieczór przybyć do Stajniowa. Państwo Jastrzębscy zawsze gościnni i mili, niezatrzymywali mię aż do uprzykrzenia; przeciwnie, dowiedziawszy się że chcę być wieczorem w Stajniowie, kazali o godzinę przyspieszyć obiad i z wdzięcznością prawie przyjęli moje oświadczenie, że wiele razy zdarzy mi się być w tej okolicy, nieomieszkać przyjechać czas jaki z nimi przepędzić.

Po obiedzie druga spotkała mię przyje-

mność: Jan oświadczył że ma zamiar być także w Stajniowie, i zaproponował żeby razem jechać; przyjąłem projekt z ochotą. Kazał więc swojej bryczce iść za nami, siadł ze mną do pojazdu i po uprzejmem pożegnaniu gospodarzy, ruszyliśmy.

— Poczcwi ludziska — rzekłem.

— A ja mówiłem panu. Żeby nie ta francuzczyzna.

— Apropos francuzczyzny — przerwałem — zdaje mi się, że pani zrozumiała tę naukę; kto więc, może ją to i poprawi. Dziękuję żeś mi dopomógł.

— Przyznając żeś zapomniał języka którego wcale nieumiał — odpowiedział Jan śmiejąc się. — Ale mniejsza o to, jeżeli mię pani Jastrzębska ma za francuza, to moja wstrzeźliwość tym lepszym będzie przykładem.

Tak rozprawiając jechaliśmy tęgim kłusem, i ledwo zmierzchać się zaczynało postrzegaliśmy zdaleka dosyć rozległe miasteczko.

— Czy to już Stajniów?

— A Stajniów panie — Piotr odpowiedział — zaraz dojedziem.

W samej rzeczy wkrótce potem wjechaliśmy do porządnie zabudowanego ale brudnego miasteczka. Mnóstwo domków jednakiej

formy i wielkości co moment uderzały w oczy i niemiłe sprawiały wrażenie, gdyż większa część ich była niezamieszкана; okna potłuczone, ściany pstrokate, bo tynk kawałami odpadając, odkrywał drzewo poczerniałe od wilgoci; bujna pokrzywa okrywająca dziedzińce, płoty na w pół pozwalane, wszystko to nadawało pozór jakiegoś miejsca, przez które przeszła morowa zaraza, a kilka nowo zaczętych domków, zdawały się zwiększać to wrażenie i jakby mówić: że pozostała mała część ludności na innych miejscach się osiedla, nieśmiejąc wrócić na dawne. Zasmucony tym widokiem zapytałem Jana, czy niewie dla czego tyle jest pustek w Stajniowie?

— Wiem bardzo dobrze — Jan odpowiedział. — Pan Lister ciągle stawia domki, niby dla osiedlenia w nich kiedyś to kupców, to rzemieślników, ale w istocie dla tego, że mu przepowiedziano, że póty żyć będzie, póki będzie budować. To też co raz to jakiś domek przybędzie, a że niema kogo w nim osiedlić, więc niezamieszkanym psuje się i niszczeje.

— Dziwne uprzedzenie! — rzekłem — to jak pan Lister jeszcze lat ze dwadzieścia pożyje....

— To wystawi ogromną ruinę — prze-

rwał Jan — a za jakie sto lat może gdzie napiszą, że tu było wielkie miasto, że sto tysięcy mieszkańców mające, przez trzęsienie ziemi zniszczone!

— Niema nic niepodobnego — odpowiedziałem — bo wieleż to historyi....

Raptem prrrr przez Piotra wyrzeczone i nagle zatrzymanie się pojazdu przerwały mi mowę. Stanęliśmy przed mieszkaniem pana Listera. Wysiedliśmy i weszli do brudnego przedpokoju, w którym niebyło nikogo, poszliśmy więc nieanonsowani do salonu. Na lewej stronie siedziała pani Listerowa, a przy niej jakiś człowiek chudy i łysy, który coś mówił do niej półgłosem i na pół przymrużonemi oczami; na prawo pan Lister i trzech jakichś panów grali w wista. Wszyscy tak byli zajęci, że niesłyszeli jakeśmy weszli, ale za pierwszym krokiem posadzka, której taflę jak klawisze się ruszały, skrzypnęła, mały amerykański bez szerści piesek spoczywający na kolanach pani Listerowej zaczął przeraźliwie szczekać, i wszyscy zwrócili na nas oczy.

Pani Listerowa przemówiła do mnie piękną francuzczyzną i zrobiła mi przy sobie miejsce na kanapie, ale nie mogłem z niego korzystać, aż póki niewzięła na kolana faworyta, który żarliwie szczekaniem swoim pro-

testował przeciw temu zamiarowi; jak się wreszcie uciszył, usiadłem; powiedziała mi że oddawna spodziewała się poznać mię, że cieszy się że będzie miała takiego sąsiada, i t. d., i t. d. Przez cały ten czas uważałem, że coraz to zwracała oko ku stolikowi gry. Nareszcie to oko spotkało się ze wzrokiem jednego z grających, i widać że go zawołała, bo wstał i zbliżył się do nas. Był to człowiek podeszły, niskiego wzrostu z ospałym wzrokiem, i długim brodawką zakończonym nosem.

— Prezentuję panu mego męża — rzekła pani Listerowa.

Myślałem że mię powita i wstałem żeby tej grzeczności odpowiedzieć, ale widać że pan Lister w salonie wyłącznie wydziałowi kart był oddany, bo ledwo się skłoniwszy, rzekł:

— Fiu! fiu! zaraz robra kończemy, już ostatnia partya.

To rzekłszy zwrócił się i poszedł ku stolikowi, a ja znowu siadłem przy pani Listerowej.

Widać było, że w swojej młodości pani Listerowa musiała być bardzo piękną. Pomimo marszczków, rysy twarzy zachowały całą regularność; oko błyszczało nadzwyczajnym ogniem, ale w spojrzeniu malowała się często przestraszająca złośliwość; kiedy mówiła, noz-

drza jej się rozdymały, a na twarzy malowała się nieugięta energija, która w pewnych przypadkach mogłaby się zamienić na niezłomny upor, z największemi walczyć przeszkodami i stać się straszną, gdyby jakakolwiek namiętność nią miotła.

Siedzący obok niej człowiek był Francuz, Mr G**, trudnił się wychowaniem jej syna. Był to jeden z tych licznych awanturników, których nam Francya nasyla, szukających majątku, niemających nic świętego, gotowych przyjąć wszelkie role, byle się wkręcić do domu i rej wodzić. Twarz jego dosyć czerstwa, miała osobliwszy wyraz hypokryzyi; brwi czarne, nad niemi duża łysina obwarowana z obu stron dużemi pakietami nastrzępionych białych włosów, nadawały jego fizynomji coś tak niepospolitego, że niepodobna było aby niezwróciła uwagi tych, co go pierwszy raz widzieli. Zdalo mi się, że podobną fizyonomiją musiał mieć Judasz. Słyszałem był o nim dawniej jak o wielkim hultaju; czytałem był nawet list, w którym namawia jedną młodą panienkę, swoją uczennicę, aby mu się dała wykraść. Jakież było moje zdziwienie, kiedy przemówił ze spuszczonei oczami i cytując pismo święte. Pani Listerowa co raz to wtrąciła swoje słówko; w pół

godziny przebiegli Ewangelie, Księgi królów, Genesis, i już pan G** zaczął był o Apokalipsę, kiedy raptem błysnął mi król czerwieniny przed oczyma, i usłyszałem za sobą głos pana Listera:

— Fiu! fiu! czy pan grywa w wista?

Jakkolwiek zbudowany świętą erudycją pani Listerowej i jej towarzysza, rad byłem odwrócić oczy od tej hypokryzyi, za którą smutnych domyślałem się charakterów; przyjąłem podawaną kartę i odszedłem z panem Listerem — przechodząc, zobaczyłem tylko w lustrze jak moi interlokutorowie spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się złośliwie i podnieśli ramiona. Widząc mię nadchodzącego z panem Listerem, jeden z grających wstał i poszedł do pani Listerowej. Ta coś zaczęła do niego szeptać, on kiwnął głową, nareszcie wyprostował się, posunął się ku drzwiom i wyszedł. Był to niejaki Waryn, urodzony w Stajniowie; mając lat dwadzieścia, wpadł był w oko jednej cieplej, jak mówią, starszce, ożenił się, i wziął kilka tysięcy intraty. Wkrótce został Sędzią Ziemskim, lecz zaledwo był trzy lata, żona mu umarła, a on z swoim żalem, tytułem i intratką powrócił na rodzinne miejsce, stał się domownikiem państwa Listerów i piastował w ich domu urząd

popychajły, to jest używany był i popychany na wszelkie komissa i posylki.

Zdało mi się zrazu, że pani Listerowa coś bardzo ważnego mu poleciła, bo słuchając jej dawał znak głową że rozumie, wysunął naprzód spodnią wargę, twarz jego nabrała nadzwyczajnej powagi, a wychodząc zdał się jakby przywalony ciężarem ważnego i zawiłkanego interesu. Później dowiedziałem się od Jana, który miał szczególny talent wszystko wiedzieć i słyszeć, że pani Listerowa kazała zabić kurę i dorobić melszpajzig do kolacyi, z powodu przybycia nowych gości. Pan Lister zapoznał mię z grającymi, byli to: starszy syn jego Michał, sąsiad niejaki Jacki, i gość który często w Stajniowie kilka tygodni przesiadywał, nazwiskiem Jelocki. Należał on do tej klasy, w Polsce tylko znanej, ludzi nic niemających, niczem niezajętych, ciągle tylko od domu do domu przejeżdżających i bawiących po pilka niedziel a czasem i miesięcy, stosownie do tego jak im się kuchnia i przyjęcie podoba.

Gra nudnie się wlokła. Pan Lister po każdej partyi zmieniał karty, co było niezawodnym sposobem przemienienia złej weny, i od lat wielu piastował nadzieję, że się doczeka skutku tej niezawodnej metody, lubo pomimo niej przegrał był do miliona, i ze-

szedł na trzygroszowego wiseczka. Michał kiedy niekiedy przemówił słowo, zresztą wszyscy zdawali się tak grą zajęci, że o czem innem myśleć w tym momencie niemogli.

Jużeśmy byli przy końcu piątego robra, kiedy dano znać do stołu. Pan Lister jakby bojąc się, żeby kolacya nieprzerwała gry nazbyt długo, rozdał karty, które przed każdym zostały nakryte, po tem przygotowaniu do gry dalszej, wstał dopiero od stolika. Podałem rękę pani Listerowej, poszliśmy do jadalnego pokoju. Kolacya zła dosyć, pomimo suplementu trwała przecie nie długo. Wszyscy milczeli, M^r. G** tylko czasem westchnął i wzniósł oczy do nieba. Zaraz po kolacyi pan Lister poszedł wprost do stolika i my za nim. Już mieliśmy na nowo zasiadać do gry, kiedy wszedł lokaj i uwiadomił że jakiś szlachcic jest w przedpokoju, i chce koniecznie widzieć się z panem Listerem.

— Tak późno — zawołał pan Lister — niech jutro rano przyjdzie.

— Chce panie wejść koniecznie, — rzekł lokaj — bo dziś odjeżdża.

Pan Lister wzniósł ramiona, mruknął — To natręt! — złożył karty i mocno nieukontentowany, wszedł do przedpokoju. Drzwi zostały otwarte; zobaczyłem człowieka śre-

dniego wieku, w szaraczkowej kapocie, skórzanym pasem opasanego, który jak tylko zobaczył pana Listera, skłonił się i uściśnął mu kolana. Pan Lister widząc tę pokorę, nie zapytał już o interes, lecz myśląc zapewne że proszą go o pomoc i rad co prędzej powrócić do zaczętego wiska, chciał pozbyć się szlachcica, dobył rubla z kieszeni i dał go proszącemu. Ten uchylił kapotę, rubla schował i rzekł:

— Pańscy strzelcy zabrali memu chłopowi siekiere, poco mamy się o tak małą rzecz pozywać, niech pan każe oddać tę siekiere.

— Fiu! fiu! — odezwał się zdekoncerutowany pan Lister — któż pan jesteś?

— Sąsiad pański, Polański, do usług,

— Nacóż pan, fiu fiu, wziąłeś rubla?

— Cóż panie dobrodzieju, przysłowie mówi: głupi daje, mądry bierze.

— Fiu! fiu! — mruknął pan Lister, i nie neodpowiedziawszy zawrócił się do salonu, a my wszyscy w głos się roześmieli.

— To z głupia frant szlachcic — rzekł Jełocki i zaczął coś cicho mówić do Michała, który się uśmiechnął i spojrzał na Jackiego.

— Nu nu! panie Michale, — rzekł trochę przez nos Jacki — że to pan zawsze coś do mnie upatrzysz.

— Ani myślałem o tobie — odpowiedział Michał.

— Nu nu, już ja wiem.

— Jak można tak być podejrzliwym?

— Ja podejrzliwy!

— Żeby tu było sto osób — rzekł Michał — a raptem kto powiedział: «jest to dudek», to pewniebyś to wziął do siebie.

— Nu nu, łatwo krytykować, a pan gdyby kto patrzył na pana i szeptał, tobyś się nieobrazil?

— Ja? gdyby nas dwóch tylko było, a głos jakiś zawołał: «jest tu między niemi głupi», to pewniebym nie wziął tego do siebie.

— Nu nu, wolne panu żarty — rzekł Jacek i poszedł do pana Listera, który zapomniawszy o kartach stał pod piecem i rozmyślał nad axiomatem Polańskiego.

— Nu nu, ten pan Michał zawsze żartuje.

— Fiu fiu, zwyczajnie młody.

— Nu nu, ja podejrzliwy!

— Fiu fiu, głupi daje, mądry bierze.

— Nu nu, pan jeszcze myślisz o Polańskim.

— Głupi szlachcic, fiu fiu.

Przez czas tej rozmowy M^r. G** podniosłszy oczy do góry wyszedł, a Jelocki siadł na jego miejsce przy pani Listerowej. Ja także zbliżyłem się z Michałem i zasiedliśmy około kanapy.

Pani Listerowa jak tylko straciła z oczu M^r. G** zapomniała o piśmie świętem, wróciła do swojego charakteru, który jakem to był przewidział, był niezmiernie złośliwy, i zaczęła ogadywać sąsiadów. Pan Pirrel był skapieć *à faire frissonner*; pan Urski egoista *à faire trembler*; pan Krycki głupi *a faire périr d'ennui*; pani Starościna Kupińska *une coquette et tout ce qui s'en suit*; pani Marszałkowa z Kaszek *un monstre*. O każdym opowiadała jakąś straszną historią, i gdyby można było dać wiarę jej opowiadaniu, to w samej rzeczy trudno byłoby mieszkać w tej okolicy, niemając ciągle przy sobie pistoletów i pugiła.

Jakkolwiek złośliwość do tak wysokiego stopnia posunięta oburzała, jednakże były chwile dowcipu, w których śmieliśmy się mimowolnie, a wiele razy język pani Listerowej ustawał, Jelocki rzucił słówko lub zaprzeczenie, co na niej sprawiało skutek, jakby ostrogi; wnet znowu nabierała ognia i rozpoczynała na nowo. Prawiła już była z godzinę, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł człowiek podeszły, trochę zgarbiony ale czerstwy i zwawy; surdut miał czarny tak długi, że się prawie dotykał podłogi, a w całej jego postawie i ruchach, mimo cywilnego stroju, widać

było księdza. Pani Listerowa tym widokiem znowu do dewocyi zwrócona, przestała mówić, wstała z uszanowaniem, i posadziła go koło siebie.

Po takim przygotowaniu myślałem naturalnie, że wrócimy do kazania, i już miałem proponować panu Listerowi ażeby wrócić do wista, kiedy sam ksiądz uwolnił mię od tej obawy.

— Jest już dni dziesięć — rzekł — jakem wyjechał z Konstantynowa, w nadziei oddania państwu ważnej posługi.

— Nam? — zawołała pani Listerowa.

— Państwu; zostałem uwiadomiony we śnie, że jest w Stajniowie skarb od dawna ukryty. Pokazał mi go święty mój patron, i tak go widzę jakby tu leżał przed nami.

Na słowo skarb, przybliżył się i pan Lister.

— Fiu! fiu! co za skarb?

— Widziałem go — odpowiedział Ksiądz poważnie — święty Floryan wziął mię za rękę i przyprowadził na miejsce gdzie jest zakopany. To miejsce tak mi przytomne w pamięci, że trafiłbym do niego z zawiązanemi oczami.

— Gdzież to jest? w Stajniowie?

— W Stajniowie, ale potem o tem — odpowiedział Ksiądz spojrzawszy po nas. —

Jutro rzeez się zrobi i pożegnam państwa, bo muszę wracać do parafji.

Patrzaliśmy na Księdza w milczeniu, pan Lister znowu poszedł do pieca i zaczął piórkiem dłubać w zębach, co było zwykłem jego zatrudnieniem kiedy niegrał w karty, a pani Listerowa kiwnęła głową na Waryna i jak się zbliżył szepnęła mu coś do ucha. Waryn znowu przybrał minę tragiczną i nie bez racyi, bo już raz drugi był posłannikiem śmierci, o czem przekonał się widząc pieczonego kapłona, którego Ksiądz sprzątnął skrapiając rześisto węgrynem. Zaraz po tej improwizowanej kolacyi, rzekł że potrzebuje spoczynku, i oświadczywszy że nazajutrz o ósmej zrana powróci, chciał wychodzić, ale ulegając usilnym prośbom pani Listerowej ażeby przenocował we dworze, usiadł znowu czekając ażeby rzeczy jego przywieziono.

Tymczasem widać że węgryn działał na Księdza, bo zaczął być mowny — pani Listerowa dzielnie mu dopomagała, jakby także upojona nadzieją skarbu, a że niebyło sposobności ogadywania, wpadła w exageracye, które w każdym jej opowiadaniu do najwyższego stopnia posuwała. Tą razą jednak trafiła na mistrza, bo i Ksiądz wiele widział, doświadczał i po swojemu opowiadał. Nie

pomnę z czego przyszło mówić o tych nadzwyczajnych gustach, które czasem przychodzą w różnych słabościach i wskazują niezawodne lekarstwo.

— Miałam służącą — rzekła pani Listerowa — którą wydałam za mąż; jak zaszła w ciążę, tak się jej zachciało ugryźć męża, że raz rzuciła się na niego i nos mu odkąsiła.

— Nos! — zawołał Jełocki.

— I połknęła; nie dość na tem, już się dobierała do ucha, aleśmy wpadli i obronili.

— A mnie się zdaje — rzekł Jełocki — że te nieprzewyciężone gusta, to są kaprysy.

— Wcale nie kaprysy! — zawołała z ogniem pani Listerowa. — Mnie samej w podobnym razie, tak się raz zachciało świeżego masła, że byłabym sobie dała rękę uciąć, ażeby go dostać. Było to w Petersburgu, posyłano na wszystkie strony napróżno, i już zaczęłam tak cierpieć, że byłabym pewno zachorowała, kiedy szczęściem poseł Szwedzki dowiedział się o tem i kazał mi powiedzieć, że ma świeże masło. Sama pobiegłam, tak mi było pilno: otworzono drzwi spiżarni i zobaczyłam dwa tysiące fasek świeżego masła.

— Dwa tysiące fasek? — zawołał Jełocki tonem powątpiewania.

— Możem się pomyliła — odpowiedziała

poważnie pani Listerowa — mogło być trzy tysiące.

— Niech już będzie dwa — rzekł Jełocki.

— Ale nie o to chodzi — zawołała na w pół z gniewem pani Listerowa — ale o gust do niego; jak tylko otworzono faskę, odeszłam prawie od przytomności, rzuciłam się na nią, i rękami zaczęłam jeść to masło, aż póki niedoszłam do dna.

— Całą faskę?

— Byłabym zjadła i drugą, alem się wstydziła.

— To masło — rzekł Ksiądz poważnie — przypomina mi nadzwyczajne zdarzenie, którego byłem świadkiem w młodości mojej. Państwo wiecie, że Jezuici byli ludzie biegli w naukach. Jeden z nich, ksiądz Krzysztof, jak dziś pamiętam wielki fizyk, ulepił człowieczka z masła i ruty.

— Co Ojciec dobrodziej robisz? — pytałem.

— Zobaczysz młodzik! ale przysiąż że przed moją śmiercią nikomu o tem mówić niebędziesz.

— Przysięgłem; on otworzył szafkę, wziął flaszeczkę z jakimś czerwonym płynem, pokropił ulepioną lalkę i zdało mi się że masło stężało. Potem przeniósł ją do gabinetu fizy-

cznego, gdzie była machina elektryczna, której tafla miała dwadzieścia łokci dyamentu; postawił lalkę przy sobie i zaczął kręcić machiną. Lalka co raz mocniej drgała, nareszcie jak za zbliżeniem konduktora wyskoczyła iskra i palnęła ją w głowę, odleciała kroków z piętnaście i padła na ziemię.

— Ot i po wszystkim! zawołałem.

— Nie bój się — rzekł ojciec Krzysztof — tak być powinno.

— Potem rzucił na nią płaszczyk z czarnej kitajki, wziął kropidło i znowu tymże czerwonym płynem pokropił. Długo żadnego skutku niebyło, ale później w dobre pół godziny zaczęło się coś ruszać pod płaszczykiem, nareszcie lalka siadła, przetarła sobie oczy i zawołała:

— Jezus, Marya, Józef! jakże długo spałem.

— Niemówiłem o tem nikomu, ale niespuszczałem z oka młodzieńca, który rósł jak na drożdżach. Ojciec Krzysztof oddał go do szkół, zarekomendował do klasztoru, i jeśli państwo słyszeliście o tym sławnym kaznodziei kamienieckim, Anastazym, to był ten sam o którym mówię.

— Fiu! fiu! — przerwał pan Lister.

— Nu! nu! — dodał Jacki.

— Słyszałam o Anastazym — zawołała

pani Listerowa — nazywali go krzywą rączką, bo miał lewą rękę wykrzywioną.

— To moja wina! — zawołał Ksiądz uderzając się w piersi. — Jak jeszcze był z masła, kiedyśmy go nieśli do fizycznego gabinetu, niezgrabnie nadkręciłem mu rękę; ale co gorsza, widać że ojciec Krzysztof zapomniiał się lepiąc, bo w tej ręce było ośm palców i prawego ucha nie miał.

— Szkoda — przerwała pani Listerowa — ale to i w naturalnych dzieciach się zdarza; ja sama widziałam dziecko z trzema głowami. Sliczna była dziewczynka, tylko szkoda że biednych rodziców, trudno ją było wykarmić; ja długi czas dawałam im ordynacyą na trzy osoby.

— Nu nu, fiu fiu — razem dwa głosy zawołały.

— Nicscie niewidzieli — rzekł na to Ksiądz poważnie. — Ja pamiętam w Sandomierzu dwoje dzieci zrosniętych plecami, ale już mieli chłopcy po lat ośmnaście, uczyli się wybornie, i właśnie kiedy miałem wyjeżdżać jeden został księdzem.

— Nu nu! a drugi? — zapytał Jacki.

— Ożenił się — odrzekł Ksiądz poważnie.

Jelocki parsknął od śmiechu, a my za nim. Ksiądz popatrzył poważnie i rzekł!

— Są prawdy których się niepojmuję, a jednak są prawdy.

To rzekłszy wstał i wyszedł; wkrótce się wszyscy rozeszli. Dziwno mi było że m. Jana niewidział, ale przechodząc zobaczyłem go grającego w maryasza z Komissarzem państwa Listerów, to była jego passya i dla maryasza byłby zapomniiał o wszystkim.

Nazajutrz miałem wyjeżdżać, ale ciekawość co się stanie ze skarbem przemogła i zatrzymałem się. Przytem rad byłem poznać Michała, o którym wiele złego i dobrego słyszałem; poszedłem do niego, ale już był wyjechał na polowanie. Udałem się więc do salonu, gdzie już o ósmej Książd miał przybyć. Zastałem wszystkich zgromadzonych: na stole leżał papier, na którym zapewne napisano umowę między Księdzem a panem Listerem, bo właśnie kiedym wchodził Książd wziął papier, złożył go i wsunął za nadrze. Poszliśmy wszyscy do ogrodu, gdzie już byli przygotowani ludzie z rydlami. Książd szedł naprzód, obracał głowę na wszystkie strony, nakoniec zawołał:

— Nie poznaję miejsca, nie widzę, proszę mi oczy zawiązać!

Zawiązano mu oczy, on jeszcze postął trochę spokojnie, nareszcie zwrócił się nagle

w prawą stronę, tupnął nogą, zdjął chustkę z oczów i zawołał: — Tutaj!

Zaczęto kopać, wykopano ogromną dziurę, ale oprócz piasku i gliny nic nieznaleziono. Książd zmieszany, mruknął pod nosem:

— Musiałem się pomylić! — I znowu zawiązał sobie oczy. — Pomyliłem się, ot tam! — dodał, skoczywszy na bok o kilka kroków.

Tak zeszło do drugiej, nakopano mnóstwo dziur w ogrodzie i miano nazajutrz znowu próbować szczęścia, ale ja już nieciekawym kontynuacyi tego przedsięwzięcia, pożegnałem państwa Listerów.

Przyjechawszy z Janem, chciałem wiedzieć co dalej z sobą robi i poprosić go do mego pojazdu, jeźliby w tę samą stronę jechał. Po gługiem szukaniu, zastałem go wreszcie na komissaryi, gdzie już od szóstej z rana grał w maryasza.

— A cóż skarb? — zawołał, jak mię zobaczył.

— Jeszcze nieznaleziony, — odpowiedziałem — ale ja wyjeżdżam i przychodzę spytać się czy jedziesz ze mną?

— Sam niewiem co zrobić — rzekł spojrzawszy na Komissarza, a w tem spojrzeniu wyraźnie były słowa: — Jeśli będzie maryasik, to zostanę.

Komissarz popatrzył na zegarek i zawołał:
 — Już druga, muszę jechać na folwark.
 — To ja służę panu — rzekł Jan.
 W parę minut potem, ruszyliśmy.

XV.

Miałem był zamiar wprost od Państwa Listerów powrócić do domu, ale tak późno wyjechałem że nie podobno było przed nocą do R..... zajechać, a droga tak była popsuta że byłbym niezawodnie pokaleczył konie i pojazd połamiał. Trzeba więc było gdzie przemocować.

— Trudno dziś — rzekłem do Jana — zajechać do domu.

— Horodło o mil parę — odpowiedział Jan.

— Prawda, ale tak nie dawno tam byłem!

— Cóż to szkodzi! Państwo Urscy tak są radzi kiedy kto do nich przyjedzie!

— Masz racją odpowiedziałem — i kazałem Piotrowi zwrócić do Horodła.

— Daleko jeszcze było do wieczora, i całe towarzystwo znajdowało się w ogrodzie. Pani Urska korzystała z każdej chwili sposobnej aby używać tej przyjemności niedługo już trwać mającej z powodu nadchodzącej zimy. I my

też wysiadłszy z powozu, poszliśmy do ogrodu. Z daleka spostrzegliśmy dosyć liczne towarzystwo idące już ku domowi. Pani Urska szła na przód, a obok niej dawny przyjaciel mego ojca, niejaki pan Bayko, człowiek ze wszech miar znakomity, a między innymi zaletami, wielki Botanik; to też widać było w całej postawie pani Urskiej przyjemność jakiej doznawała ze sposobności pokazania swego ogrodu znawcy, który był w stanie ocenić jej gust i pracę. Za niemi szło kilka jeszcze osób, kobiet i mężczyzn, między którymi poznałem z radością tego młodego Buńskiego, którego nie dawno widziałem był u mojej siostry. Ucieszony tem spotkaniem, przyspieszyłem kroku. Przyjęty uprzejmie przez panią domu, powitany prawdziwie po przyjacielsku, przez szanownego Baykę i Buńskiego, uczułem się szczęśliwym że projekt Jana przyjąłem i zajechałem do Horodła. Po przerwie naturalnie przybyciem nowych gości sprawionej, rozmowa wróciła do dawnego przedmiotu, to jest do ogrodnictwa i ogrodu pani Urskiej. Pochwały które mu dawał pan Bayko, lubo może trochę i przesadzone, dawane były z taką delikatnością, z takim taktem, tak zawsze usprawiedliwione, że wcale nie miały miny komplementów, to też pani Urska

tak była niemi uszczęśliwiona, że wydała mi się jeszcze przyjemniejszą i miłszą niż zwykle.

Jużeśmy dochodzili do domu, kiedy Buński rzekł:

— Jakkolwiek ogród pani jest piękny, wzorowie utrzymany, ja pozawczoraj widziałem taki, z którym nic się porównać nie może!

— A to gdzie? — zawołała z żywością pani Urska, — w czymże tak godny uwagi?

— W tem, że jest ogrodem a nie ma w nim ani roślin, ani skał, ani wody!

— Już wiem, — przerwał pan Bayko, — w Rassowie zapewne?

— W Rassowie! — zawołała pani Urska; — słyszałam o nim, ale nikt mi dać nie mógł dobrego opisanie; więc pan musisz nam powiedzieć co widziałeś.

— To rzecz nie łatwa, odpowiedział Buński, ale będę się starał jak najwięcej przypomnieć.

— Wejźmy do domu, i będziemy pana słuchać — rzekła pani Urska.

Weszliśmy więc do salonu. Sam pan Urski był w bibliotece, nie więc rozmowy naszej nie przerwało, pani Urska siadła na kanapie, my na około stołu przed nią stojącego, i Buński tak dalej mówił:

— Przyjechałem na popas do Rassowa, a lubo nie znałem dziedziczki, wiedząc jednak

że jest siostrą panów Kopińskich, postanowiłem oddać jej wizytę; spytałem więc arendarza:

— Czy pani jest w domu.

— Jest panie, teraz naprawiają i malują ogród, to wona za nic by nie wyjechała.

— Jak to naprawiają i malują?

— Zobaczy pan, takiego ogrodu na świecie nie ma!

Po takim opisanie, pospieszyłem co tchu do dworu. Pani Trylska przyjęła mię z rubaszną gościnnością, a dowiedziawszy się że znam ich braci, zawołała:

— Tóż to pan musiał się nie raz z nich naśmiać!

— Bardzo mile czas w ich domach spędzałem.

— Porzuć pan te ceremonije, czy to ja nie wiem o ich fetach, ogrodach.

— I pani dobrodziejka masz sławny ogród, wiele o nim słyszałem.

— Nie ma nic osobliwego, — rzekła pani Trylska, z udaną skromnością; — to tylko że nie taki jak inne.

— Musi być ładniejszy od innych, kiedy o nim gadają.

— Może nie ładniejszy, ale nie taki. Każdy potrafi wsadzić drzew, nasprować roślin, porobić aleje, zrobić fontanny, kaskady, skały,

ale bez tego wszystkiego zrobić ogród, na tem sztuka.

— Więc pani ogród jest bez tego wszystkiego.

— Jedno tylko jest drzewo.

— Cóż jest w tym ogrodzie?

— Rebuzy, szarady, zagadki, koncepta!

Nie mogłem nic odpowiedzieć z zadumienia, a pani Trylska widząc to dodała:

— Widzę żeś pan ciekawy, pójdźmy więc.

To rzekłszy, wstała, i wyszliśmy na ganek ze strony ogrodu. W samej rzeczy jedno tylko było drzewo, do pół wysokości murem opasane, opodal kilka drewnianych altanek w różnych formach, a na każdym słupie sztachet dużemi literami napisane rebuzy, zagadki, szarady.

— Widzisz pan — rzekła pani Trylska — co to trzeba było nałamać sobie głowy żeby te wszystkie słupy zużytecznieć.

— Prawda — odpowiedziałem.

— To mię blisko rok czasu kosztowało. Niech no pan zbliży się i przeczyta kilka przynajmniej.

— Ale ja, pani dobrodziejko, nie umiem zgadywać zagadek i szarad.

— Bądź pan spokojny, ja gości moich nie fatyguję, sama je komponowałam tak, że każdy

od razu zgadnie, i ma przyjemność bez złamania głowy.

Nie można było odmówić, zbliżyliśmy się zatem do pierwszego słupa, i przeczytałem:

Pierwsze wą, drugie sy, wszyst pod nosem.

— Wąsy — rzekłem śmiejąc się.

— A widzi pan. Dla przekonania, niech pan patrzy.

To mówiąc odsunęła zasuwkę nad szaradą i zobaczyłem napis: «Wąsy.»

— Tym sposobem gdyby słowo i nie przyszło zaraz na myśl, to można go znaleźć, i mile bez fatygi godzinkę przepędzić. Pójdźmy dalej.

Na drugim słupie także była szarada:

Pierwsze sza, drugie fa, wszystko w kącie stoi.

— Szafa — rzekłem poważnie.

— Cóż pan mówisz że nie umiesz odgadywać! Muszę pana do trudniejszych zaprowadzić.

Mineliśmy kilka słupów. Przy trzecim czy czwartym, pani Trylska zatrzymała się i rzekła:

— Niechno pan tę zagadkę odgadnie.

Spojrzałem i znalazłem napis:

«Łazi po dachu, pazurami drapie,

«Myszy i szczury łapie.»

— Kot — rzekłem.

— A pan widzę, mocniejszy jak myślałam; zobaczmy co jeszcze trudniejszego. Ot to, na przykład:

«Łój w około, w środku nici,
«Jak zapalić to się świci.»

Zagryzłem wargi, bo mię pusty śmiech ogarnął, nie chcąc jednak zrażać pani Trylskiej, pomyślałem trochę i rzekłem poważnie:

— Wyznam że nie wiem co to znaczy.

— A widzi pan że nie wszystkie łatwe, niechże pan patrzy.

— Odsunęła zasuwkę i zobaczyłem: «świeca.»

Miałem nadzieję że już na tem się skończy, ale pani Trylska rzekła:

Są jeszcze trudniejsze. Ta, na przykład:

«Czarno ubrany, długą brodę nosi
«O świętym Janie o arędy prosi.»

— Nie wiem co by to być mogło.

— Żyd! — zawołała pani Trylska! — jak się pan nie domyślił!

— Trudno — rzekłem, tą razą dobrze natchniony — tak kilka zagadek jedna po drugiej odgadnąć. To męczy głowę, osobliwie kiedy kto nie wprawny.

— Masz pan rację. Odlóżmy to więc na później, a teraz zwiedzmy ogród.

Poszliśmy do jednego drzewa które bliżej było ganku jak inne ciekawości.

— To jest — rzekła pani Trylska — drzewo wolności.

— Wolności — zawołałem zadziwiony — kiedy murem opasane!

— Dla tego jest drzewem wolności, że wolno mi go ściąć, wolno nie ściąć.

— A, to co inszego — rzekłem przygryzając wargi.

— Pójdźmy do Indyi wschodnich.

To rzekłszy, poprowadziła mię do małej altanki, na wzgórku postawionej.

— Więc to są Indye wschodnie? zapytałem.

— Bo na wzgórku, więc się wschodzi do nich.

— Wyborny koncept — rzekłem. — Nikt-by się był tego nie domyślił.

— Widzi pan, na tem sztuka.

Z Indyi wschodnich poszliśmy do małego domku z ganeczkiem na którym wymalowane były dwie sroki ogonami do siebie obrócone a pod niemi napis:

«Siedzim sobie
«Tyłem obie,
«Jak ty mnie, tak ja tobie.»

Miałem już pytać o wytłumaczenie tego konceptu, kiedyśmy usłyszeli stąpanie i odwró-

ciwszy się spostrzeżliśmy Filipa Pirrela i Gustawa O.... Już zaczynało zmierzchać. Przytem ci panowie już znali ogród, więc pani Trylska, obiecawszy mi uprzejmie jutro resztę ogrodu pokazać, wróciła do domu.

— Cóż było nazajutrz? zapytała pani Urska.

— Uciekłem przededniem — odpowiedział Buński.

— Nie znam tej pani Trylskiej, — rzekł pan Bayko — ale słyszałem że oprócz ogrodu ma jeszcze różne równie dziwaczne zbiory.

— Mówiła nam o nich, ale nic nie widziałem. Z jednym tylko medalem się pochwaliła.

— Czy jaki stary medal polski?

— Nie, medal wybity na pamiątkę tego co wymyślił złoto.

— Ale już też pan zmyślasz — zawołała pani Urska.

— Bynajmniej; naśmiałem się nawet serdecznie z tej okazji, bo Filip Pirrel obejrawszy poważnie ten medal, rzekł oddając go:

— To bardzo rzadkie. Ale i ja mam coś równie rzadkiego, medal, który umyślnie dla pani do szacownego zbioru jej przywiózłem.

— Jakież to medal?

— Oto jest — odpowiedział Filip dobywając z sakiewki jakiś stary pieniądz tak wytarty że miał minę prostej blaszki.

— Kiedy nie na nim nie ma!

— Tem radszy że taki stary.

— Na cóż on wybity?

— Na pamiątkę tego co wymyślił śliwki.

— Doprawdy! o to pani stolnikowa Pryńska zmartwi się jak się dowie że mam taką rzadkość.

— Czy także zbiera medale?

— Nie, ona ma kolekcję rogów.

— Cóż ją obchodzi medale?

— Ona mnie wszystkiego zazdrości.

— Po tej rozmowie — dodał Buński — rezeszliśmy się. Nazajutrz ci panowie zostali jeszcze a ja raniutko uciekłem, bojąc się nowych zagadek.

Właśnie Buński słów tych domawiał, kiedy wszedł pan Urski. Zbliżył się do mnie, uklonił się i z miłym uśmiechem rzekł:

— Bardzo! Bardzo!

Wkrótce dała się słyszeć muzyka która co wieczór parę godzin grała. Rozmowa półgłosem nic nie przedstawiła godnego wspomnienia, więc i ja też nic o niej nie powiem.

Nazajutrz, sądziłem być moim obowiązkiem oddać wizytę przyjacielowi mego ojca, a śmiem powiedzieć i mojemu. Jak tylko więc mogłem sądzić że pan Bayko już nie spi, poszedłem do niego. Zastałem już Buńskiego.

Jakeśmy ruszyli do biblioteki, zastaliśmy pana Urskiego siedzącego nad dwoma książkami w które kolejno zaglądał, jakby robiąc porównanie między dwoma tekstami. Jak nas spostrzegł, uśmiechnął się, i z niezwykłą wesołością, rzekł:

— Prawdziwie śmiesznie! bardzo śmiesznie. —

— Co takiego? — zapytał pan Bayko.

— Podróż do Krymu, po francuzku, i tłumaczenie na rosyjskie! Prawdziwie śmiesznie! —

To rzekłszy, posunął obie książki ku Buńskiemu, pokazując palcem gdzie ma czytać. Buński wziął książkę francuską i przeczytał głośno wskazane sobie miejsce:

„*Cette montagne est nommée, Montagne de la tente, et réellement sa forme est celle d'une tente.*“

— To prawda — rzekł pan Bayko. Widziałem tę górę, i ma w samej rzeczy formę rozbi tego namiotu.

— Ale tłumaczenie! — przerwał pan Urski.

Buński wziął drugą książkę i przeczytał:

„*Etaja gora zowiet sia tiotiuszkowa gora, i w samom diele oczeń na tiotiuszku pachozą!*“

— Do ciotki podobna! — zawołał pan Urski, — śmieszne, prawdziwie śmieszne! —

Wesołość ta jakkolwiek umiarkowana nie mogła trwać długo w panu Urskim. Wrócił prędko do swego elementu, zaczął nam pokazywać ciekawe książki, rzadkie edycje, sztychy i t. d. i tak nas zajął żeśmy się prawie zdziwili jak wszedł lokaj z oznajmieniem, że dano śniadanie; co było dowodem że już nadeszło południe.

Poszliśmy więc na śniadanie, pani Urska i dwie jakieś damy były już w salonie. Opowiedzieliśmy jej o górze co podobna do ciotki, pan Urski znowu powiedział:

— Śmieszne, bardzo śmieszne!

A pani Urska rzekła do Buńskiego:

— Wczoraj nagadałeś nam pan niestworzonych rzeczy, musisz więc za to dzisiaj co przeczytać.

— Cóż, pani, — rzekł Buński, — czy nie dosyć bazgrać! Ja nigdy nic nie czytam.

— Chyba że gdzie jaką pannę za drugą wykradnę — rzekłem.

Buński zaczerwieniał i odpowiedział:

— Prawda, że nie dawno czytałem w Czarnej powiastkę, ale mię też przymuszono.

— Jeżeli tylko o to chodzi — rzekła pani Urska, — to i my przecie potrafimy przymusić; lepiej więc nie czekać przymusu i z dobrej woli przeczytać.

Letka szaraczkowa czapeczka, od niechciana na prawe ucho wciśniona, rywalizowała z kolorem kręących się włosów młodzieńca, które spudrowane warsztwą kurzu szossowego, nadawały twarzy jego jakiś wyraz roztargnienia, ale roztargnienia wesołego, miłego. Ubiór jego składała czamarka granatowa, dająca widzieć poniżej pantalony szaraczkowe i co u nas niezwykle, trzewiki z kamaszami także szaraczkowemi. —

Młodzieniec ten był jeden z pierwszych którzy weszli do oberży, i powtarzając sobie półgłosem napomnienie Konduktora, zabierał się usiąść do stołu w miejscu, gdzie, jak mu się zdawało, najpierwej wszystko mu się dostanie co będzie do jedzenia — gdy tuż za sobą usłyszał zapytanie:

— Czy między panami jadącymi z Warszawy nieznajduje się także pan Kossowski?

Na to nazwisko obrócił się młody Warszawiak i ujrzał na progu we drzwiach stojącego małego lokaja w niebieskiej liberyi, z żółtemi wypustkami, w spodniach skurzanych i w bótach ze sztylpami, a rzuciwszy okiem w około po wszystkich swoich towarzyszach podróży, jakby z zapytaniem, czy to wezwanie do którego z nich się ściąga, gdy nikt nie odpowiadał, rzekł do posłańca:

— Zdaje się że tylko ja jeden Kossowski tu jestem; a zatem mój mały przyjacielu, czy ty się o mnie dopytujesz?

— Pan Kossowski przyjechał dzisiaj dyliżansem idącym z Warszawy do K***.

— Tak jest, tak jest... W tym razie nie mogę zaprzeczać mojej osobistości. Cóż możesz odemnie chcieć, mój mały pośle? O znajmiam ci naprzód, że miasto K*** tak mi zupełnie nieznane jak i jego 45000 mieszkańców chrześcijańskich i żydowskich, męskiej i żeńskiej płci.

— Wiem o tem łaskawy panie — odrzekł uczeń lokajski z unizonym uśmiechem — dla tego też jestem naprzeciw pana wysłany.

— Na przeciw mnie jesteś wysłany? — powtórzył Kossowski zadziwiony. — A czy wolno wiedzieć od kogo, mój ty usługny człowieczku?

— Jeżeli pan zechcesz się ze mną pofatygować — rzekł chłopiec; — polecono mi tylko z samym panem mówić.

— Moi panowie, żart na stronę — zawołał Kossowski wstając i obracając się do współtowarzyszów podróży; — jeżeli który z panów jest twórcą tej dowcipnej mistyfikacyi, to wzywam go w imieniu liłości godnego próżnego żołądka mojego, ażeby się przyznał do

winy i pozwolił mi korzystać z tych krótkich dwudziestu minut które nam jeszcze pozostają.

Lecz wszyscy przytomni odpowiedzieli na to komiczne wezwanie najuroczystszem zapewnieniem: że w zdarzeniu tem najmniejszego udziału niemają — i Kossowski przez ciekawość postanowił przygodę tę poznać aż do końca.

Ciekawość zmusiła jego głodny żołądek do cierpliwości kilku minutowej i odszedł od stołu, poprosiwszy wprzód swoich towarzyszków, ażeby mu z każdej potrawy część stosowną dla niego odłożyli, i przyrzekłszy im że wkrótce powróci i rozwiązanie zagadki im opowie.

Posłańczyk słysząc tę prośbę i obietnicę, znowu się uśmiechnął, ale ten uśmiech równie jak pierwszy był z wszelkiem należnem uszanowaniem, i skoro tylko był już z młodym Warszawiakiem na ulicy, rzekł do niego:

— Pan chcesz się naśmiać kosztem tych panów, boć przecie pan wiesz dobrze, że tego dnia niebędziesz jeść w tej oberży.

— Ja to wiem dobrze — rzecze Kossowski, którego apetyt na te słowa z podwójną gwałtownością obudził się, — że ani kroku dalej nie postąpię. Teraz jesteśmy sami; mów

prawdę jasno i prędko a pamiętaj na to: że jeżeliś miał nieszczęście podjąć się wypełnienia niewczesnego żartu, ja niezawodnie K*** nieopuszczę, niewytrzepawszy ci wprzód pleców należycie, choćbym miał moją wieczerzę i moje miejsce w Dylizansie stracić.

Lokaik skłonił się i rzekł z swym niezmiennym ale zawsze pełnym uszanowania uśmiechem:

— Już ja to widzę że pan lubisz żartować, bo sądzić niemogę żebyś pan dzisiaj chciał z K*** wyjechać; a co do wieczerzy, to pewno tej lichej w oberży niepożałujesz, kiedy na pana czeka inna, wspaniała.

Te słowa były wprawdzie równie niezrozumiałe jak cała gadanina malca, ale jednakże uspokoiły one gniew młodzieńca; rzekł przeto nieco spokojniej:

— A więc mię u twego pana oczekują z kolacją?

— Pan chciałeś powiedzieć, u mojej pani, — odpowiedział posłaniec.

— Pani! Dobra wieczerza! Tajemnica! Ej — pomyślał sobie Kossowski otrzepując się z kurzu, — to wszystko nie jest tak straszne, a przygoda ta przybiera coraz lepszą postać. Jeszcze raz pytam cię się — zawołał do posłańca, — czyś jest pewny, że pani twoja

mnie, Kossowskiemu z Warszawy, te grzeczne zaprosiny przesyła?

— Tak jest, panie, tak jest — odpowiedział posłaniec. — Zresztą, oto jest list mojej pani, w którym pan wyczytasz potwierdzenie mojego zlecenia.

Kossowski porwał spiesźnie za list, który mu posłaniec podał. Adres był pod jego nazwiskiem, ale charakter był mu zupełnie nieznan. Pełny niecierpliwości, złamał pieczętkę ażeby podpisać dręczycia, lecz list był bez podpisu i zawierał tylko te kilka słów:

„Pan Kossowski jest oczekiwany z największą niecierpliwością, jest mocno proszony, udać się bez najmniejszej zwłoki, za oddawcą niniejszego listu. Rachują na jego pospiech i dyskrecyą.“

Kossowski, młody, pełen fantazyi niemógł dozwolić, ażeby romans taki, jaki się mu tutaj i w tak osobliwszy sposób nastroczał, w polowie tylko wyczerpać; zapomniał przeto o dylizansie, o wieczerzy w oberży, i obróciwszy się do posłańca rzekł stanowczo:

— Naprzód!

— Tylko o parę kroków z tą! — odpowiedział posłaniec i poszedł naprzód.

— Tem lepiej — pomyślał Kossowski, — bo prawdziwie umieram z głodu i ciekawości.

Jednakże po tych kilku krokach, gdy się po za róg ulicy zwrócili, ujrzał Kossowski nic innego jak piękny jednokonnny kabriolet do którego wsiąść zaprosił go posłaniec, potem usiadł obok niego, wziął bicz w rękę, uderzył konia i spiesźnie ruszyli drogą prowadzącą przez pole.

Kossowski postanowił już o nic więcej nie pytać posłańca, bo dotąd, z jego niedokładnych odpowiedzi nic się nie mógł dowiedzieć, i rad nie rad, uzbroiwszy się w cierpliwość oczekiwał końca tej awanturniczej przygody.

— Do stu zajęcy — rzekł sam do siebie, podczas kiedy kabriolet spiesźnie się toczył — to coś zakrawa na wstęp do francuzkiej wierzy Nesle; a ja tu mam dużo podobieństwa do kapitana Buridana udającego się na *rendez vous* z panią Małgorzatą Burgundską. Ale, mniejsza o to: naprzód! Co kolwiek się stanie, zawsze to zrobi interessującą anekdotę, którą będę mógł opowiadać moim przyjaciółom i dobrym znajomym; chybabym ... porównanie to kończąc ... chybabym po jak najprzyjemniejszej nocy, został uduszony, w worek zaszyty i gdzie do rzeki wrzucony.

Mysli Kossowskiego przechodziły potem wszelkie, jakie tylko mógł wynaleźć idealne powody swojego porwania.

— To jest niezawodne — myślał sobie — że w tych okolicach nieznam nikogo i nigdy tu jeszcze niebyłem. Być może że który z moich szkolnych przyjaciół osiadł w tych stronach, a ja o tem nie wiem; ale to znowu jest niepodobnem, żeby mógł wiedzieć o mojej podróży, o czasie mojego do K*** przybycia, gdyż ja nagle Warszawę opuściłem, zniechęcony; dzień przedtem sam niewiedzialem o tem że nazajutrz w drodze i w tych stronach będę. Ani jeden z moich kolegów wie co się ze mną stało, bo dopiero z Krakowa postanowiłem sobie zawiadomić ich o mojej wycieczce. Ha! — zawołał nagle uderzając się w czoło, — teraz rozwiążę zagadkę. Założyłbym się, że Witold, albo też Konstanty jeden albo drugi ... którenkolwiek z nich ma wuja, ciotkę lub coś podobnego w tych stronach ... tak jest, tak ... Witold albo Konstanty są tu zapewne na wakacyach; jeden z nich zobaczył mię może wysiadającego z Dylizansu ... prędki pomysł ... awanturka improwizowana ... kabriolet i milczący masztalerz ... i tak przybędę do jakiego zamku wuja czy ciotki, gdzie z powszechnym śmiechem oczekują mię z kolacją. Tak jest bez wszelkiej wątpliwości; ... ale do licha z takim żartem. —

Po skończeniu tej z samym sobą rozmowy, zapytał się posłańca:

— Malcze, czy niejesteś ty od pana Witolda K***?

— Co pan rozkażesz?

— Albo od pana Konstantego B**?

— Nieznam nikogo coby się tak nazywał — odpowiedział lakonicznie i biczem konia oderzył.

Wszelkie domniemywania Kossowskiego na tem się skończyły i założywszy w krzyż ręce poddał się na nowo cierpliwości. —

Po trzech kwadransach drogi zatrzymał się kabriolet przed małą zieloną furtką, która natychmiast się otworzyła. Młoda przystojna służąca ukazała się na progu i powiedziała do Kossowskiego, że już o jego przybyciu zaczęto powątpiewać, a obawa dam tem większą jeszcze była, gdy się dowiedziano że właśnie dziś rano w pobliżu M*** dylizans w rów szosy wywrócony został.

— Moje kochane dziecko — rzekł Kossowski — czy panie w rozpaczę że nieprzybywam, siadły już do stołu?

— A broń Boże! — zawołała dziewczyna — jakżeby się to stać mogło bez pana?

Ta odpowiedź zaspokoila zgłodniałego wędrowca.

— No, kiedy tak — rzecze — to proszę cię moja najmilsza, prowadź mię spieszenie do pań, bo drzę cały z pragnienia złożyć im moje uszanowanie ... i zapoznać się z niemi.

Dziewczyna weszła z Kossowskim do ogrodu, a właściwiej do pięknego parku, i różnemi bocznemi drożynami doprowadziła go aż do tylnych drzwi dość okazałego palacu wiejskiego. Z wielką przyjemnością postrzegł Kossowski że większa część okien w antrsol była oświetloną i pomyślał w duchu: — to pewno sala jadalna.

— Przepraszam pana — rzekła garderobiana — że go przez kuchnię wprowadzę do domu, ale sądzę że pan byś się nie chciał pokazać gościom w swym podróżnym ubiorze.

— To się samo z siebie rozumie — odparł Kossowski rzuciwszy wzrokiem zadowolionem na zastawione rądlami i rądelkami ognisko, na obracane różny i zatrudnionych kucharza i kuchcików.

— Niech pan cicho postępuje — prosiła garderobiana. — Teraz jesteśmy na tajnych schodkach prowadzących do pańskiego pokoju. Ale tu światła niema miej się pan na ostrożności ... trzymaj się pan poręczy

na lewo i chodź pan za mną. Tak ... otóż i jesteśmy ... niech pan wejdzie; ale zaraz ... poczekaj pan, muszę pana do krzesła poprowadzić. Pan musisz być bardzo sfatygowany ... no, teraz niech pan raczy usiąść i odpocząć a ja tym czasem pójde moje panią zawiadomić.

I po tych słowach zniknęła.

Przez krótki czas czekania, znowu zaczęła bujać fantazya Kossowskiego po różnorodnych i nieskończonych domniemywaniach. —

— To jest oświadczyste, że mnie zupełnie z kogo innego biorą; tu zachodzi wielkie nieporozumienie ... i skoro pani domu mię ujrzy i przekona się że mnie niezna, przeprosi mię za omyłkę swych służących i jak najgrzeczniej za drzwi wyprosi. Ach! do licha! ta awanturka coś się w tragiczną zamienia; wspaniałą kolacyą, tak uroczyste mi przyrzeczoną z przed nosa mi zabiorą, podobnie jak i tę nieszczęśliwą w oberży; ale w tym razie jeden z nas życie zakończy: albo ja umrę z głodu, albo też zamorduję tego niby to lokaja, co mię w tę szkaradną historiyą wpłatał. Ale cicho ktoś nadchodzi katastrofa się zbliża! —

Garderobiana weszła napowrót do pokoju, postawiła kandelaber na stole, i zbliży-

wszy się do Kossowskiego, szepnęła mu do ucha:

— Pani! —

W tym momencie weszła kobieta około pięćdziesiąt lat mająca; twarz jej była uszanowanie wzbudzająca, postawa szlachetna. Odesłała służącą, zamknęła za nią drzwi i zbliżyła się do Kossowskiego kłaniając mu lubo grzecznie, ale z pewną poufałością; ten zaś stosując się w swoim obejściu do tak przyjaznego przyjęcia go, nawzajem kilkakrotnie się uklonił.

— Ale, cóż to się znaczy — pomyślał sobie w najwyższym zadziwieniu — co to z tego będzie? Zdaje się że ona mnie zna! Ostrożność kochanku, ostrożność! podobna awantura i w twoim wieku, musi być przy najmniej za niebezpieczną łapkę uważana. No! zresztą zobaczymy, w jaki sposób zechce uuiewinnić moje uprowadzenie.

— Ach panie! myśmy go z taką niespokojnością oczekiwali; szczęście żeś pan przecie przybył. Jak Leopold przewidywał, tak się widzę i stało, że nie mógł z panem przyjechać. Jednakże, wszystko inne nic nie znaczy, kiedyś pan przyjechał. Ileż to wdzięczności winni jesteście panu.

— Ja pani.... bardzo przyjemnie

jeżeli byłem w stanie ... — temi urywkowemi i na wpół cicho wyszeplenionami słowami starał się Kossowski nie zdradzić swego osobliwszego położenia.

— Ach tak, drogi panie Kossowski! Leopold zawiadomił pana o niezbędnych koniecznościach, które nas zmusiły do podobnego postępowania. Tylko zaufany przyjaciel mojego syna, przyjaciel, którego on zna od dzieciństwa, i za którego jak za siebie samego ręczyć może, tylko taki mógł być za współnika spisku naszego użyty. Ale pochwały, z jakimi on pana zarekomandował w wczorajszym swoim liście, w którym nam także i odjazd pański doniósł, zaspokajają nas zupełnie. Tak, panie, jestem przekonana, że tego nigdy sobie wyrzucać nie będziemy, żeśmy panu powierzyli to, co mamy najdroższego; i pan także, spodziewam się, że równie nigdy nie będziesz miał przyczyny skarżenia się na zaufanie, któreś pan w Leopoldzie i w nas położył. —

— O tem jestem aż nadto przekonany! — odpowiedział Kossowski, który im dłużej nieporozumienie trwało, tem coraz to bardziej był ciekawy.

— Ale czas nagli. Paneś się trochę spóźnił — mówiła dalej nieznajoma. — Wszy-

scy zaproszeni już są od dawna w salonie zebrani. Leopold doniósł nam, że wszystkie formalności załatwił i my też z naszej strony nic niezaniechaliśmy. Jak widzę, to pan jesteś jeszcze w podróżnym ubiorze i w prędkości zapewne zapomniałeś z poczty wziąć swój kufer. Mniejsza o to, niepotrzebujesz się pan tem martwić: i na to sposób się znajdzie, bo my od ośmiu dni niczem innem tylko przyjazdem pańskim zajmujemy się. W tym obok gabinecie znajdziesz pan garderobę Leodolda. Gdy nam Leopold opisywał charakter pański, doniósł przytem że podobnego z nim wzrostu i postawy jesteś, lubo się trochę omylił, bo pan, chociaż niewiele, ale jednak jesteś cokolwiek wyższy od niego; ale tak małą różnicę tylko oko matki poznać może. Ubieraj się więc pan, a prędko. Za pół godziny przyjdzie po pana mój brat, pułkownik, zaprowadzi pana do salonu, i przedstawi naszym krewnym i przyjaciółom. A więc do widzenia; a raczej, jak sądzę że wolno mi powiedzieć, do widzenia kochany Kossowski. —

I odeszła, zostawując Kossowskiego jeszcze w nierównie większem zadziwieniu.

— Dali bóg — rzecze do siebie — jeżeli to jest żart, to go zupełnie seryo wypeł-

niają. Mama gra swą rolę doskonale. Jest to prawdziwie matrona umiejąca używać swego zaufania. Bądź co bądź, to jest najpewniejsze: że je z całej tej gmatwaniny ani jednego słowa nie rozumiem. Ba, tyle wprawdzie zrozumiałem: że ma syna, że ten syn zowie się Leopold, że ma brata a ten brat jest pułkownikiem i tu przyjdzie wziąć mię z sobą, ażeby mię przedstawić, i, jak sobie tuszę, coś nakoniec dać mi do zjedzenia. A zatem, zwawo, pospieszajmy ubrać się w suknie tego drogiego Leopolda, mojego poufałego, nieznajomego przyjaciela. Tam w tym gabinecie, powiedziała mama? Ah, doskonale! wszak tu wszystko leży co tylko jest potrzebne do przestrojenia mię w eleganta. Jak to jednak miła rzecz być oczekiwany! —

W krótkce Kossowski przemienił się w zupełnie modnego kawalera i istotnie bardzo dobrze wyglądał, i godnie do odegrania tak romantycznej roli, jaką mu nadał przypadek.

Gdy tak się sam sobie z zadowoleniem w zwierciadle przypatruje, i sprzączkę od kamizelki mocno przyciąga aby zmusić do milczenia żąładek głośno swą niecierpliwość oznajmiający — usłyszał za sobą gruby chrapliwy głos:

— No, kochany Kossowski, czyś już gotów?

Był to pułkownik, wysoki, chudy starzec z dużym orlim nosem, w jasno błękitnej peruce, i z krzyżem wojakowym.

Kossowski obrócił się ku niemu, ciekawy, jakie też wrażenie zrobi osoba jego na tym nowym przybylecu. Pułkownik zmierzył go wzrokiem swoim od stóp do głowy, okazał zadowolenie i zawołał:

— Chwała Bogu! Z ukontentowaniem widzę że nas Leopold niezawiodł; to jest prawdziwie przystoiny młodzieniec, co w podobnych okolicznościach bynajmniej nie szkodzi; — i podając mu rękę, — uderz mój młody przyjacielu! — zawołał. — W położeniu, w jakim wzajemnie ku sobie zostajemy, nie jesteś już dla mnie obcym, chociaż się w ten moment po pierwszy raz widzimy, i przeto ja cię wprowadzę i przedstawię. Spodziewam się żeś niezapomniał instrukcyi Leopolda? —

— W tym punkcie mogę pana sumiennie zaspokoić. że ani jednego słówka nie zapomniałem z tego, co mi Leopold powiedział.

— Bardzo mię to cieszy! A zatem pamiętasz pewno: że siostrzenica moja nazywa się Aniela, i że koniecznie jest potrzebnem, ażeby

w oczach świata a szczególnie w oczach bocznych krewnych naszej starej kuzynki Urszuli, unikać wszystkiego tego, co by rzecz tę uderzającą, a jeszcze bardziej jako z pospiechem robioną okazywać mogło, i że przeto musisz udawać jakbyś już siostrzenicę moją dawno znał, przed parą laty jeszcze, i potem w roku zeszłym kiedy z matką swoją bawiła u państwa R*** w Warszawie. Rozumiesz mię?

— Zupełnie, panie Pułkowniku, zupełnie. —

— Przednio! Doskonale! Ale teraz, mój kochany Kossowski, już czas gwałtowny; musimy iść do salonu.

W tym tak krytycznym momencie uczuł Kossowski niejakaś obawę; ale osobliwość przygody tej, chęć nadzwyczajna zobaczenia dalszego ciągu i końca jej, jako też — co tu ważny powód stanowiło — gwałtowny głód dręczący go, wszystko to razem sprawiło iż poszedł za Pułkownikiem. —

Ten poprowadził go przez szerokie, wspinalne, rzęśisto oświecone schody, otworzył drzwi do przedpokoju i wszedł z nim do bogato ubranego salonu w którym było licznie zebrane towarzystwo. — Gdy weszli, powstał szmer ogólny.

— Mam honor przedstawić państwu pana Kossowskiego narzeczonego mojej siostrzenicy Anieli O***.

Na te słowa dostał Kossowski gwałtownego zawrotu głowę, tak że o mało co nie upadł; Pułkownik jednak, który go trzymał za rękę, wstrzymał go i szepnął mu po cichu:

— Zimna krew! Przytomność umysłu! Powstrzymaj swe wsruszenie.

Jakoż w momencie przyszedł do siebie, i ujrzał się przyprowadzonym przez swego towarzysza do pani O***, z którą zrobił już znajomość przed swoim przebraniem się. Obok tej damy stała młoda, nadzwyczajnie piękna, może siedmnaście lat mająca panienka, której zarumienienie się i pomieszanie zaręczyło Kossowskiemu, że to jest Aniela O***.

Ukloniwszy się matce i córce i powiedziawszy kilka słów stósownych do okoliczności, które mu Pułkownik podszepnął, znalazł się Kossowski nagle otoczony krewnymi i przyjaciółmi familji i od nich licznymi życzeniami i przyjacielskimi zapewnieniami obsypany. W największem pomieszaniu i gdy już niewiedział co ma dalej robić, udało mu się przecie uchwycić napowrót Pułkownika, już ze stałem postanowieniem ukończenia tego nieporozumienia, które za nadto poważny

charakter przybierało i niedozwalało człowiekowi uczciwemu i dobrego wychowania, milczeniem swoim na przedłużenie go dozwalać. Ale nasz suchy w jasnej peruce starzec nie dał mu czasu do wypełnienia tak szlachetnego zamiaru.

— Kochany Kossowski, — rzecze do niego ciągnąc go z sobą na balkon, gdzie nikt nie mógł podsłuchiwać ich rozmowy. — Twój przyjazd jest wielkiem szczęściem dla mojej siostrzenicy i dla ciebie. Dzień jeden później a wszystko było stracone, zważ więc z jaką niespokojnością i bojaźnią czekaliśmy na ciebie. Gdyśmy się dziś dowiedzieli, że dziś rano w pobliżu M*** dylizans został wywrócony, omałośmy, ja i moja siostra, z bojaźni niepomarli, i gdybyś, nieszczęśliwym trafem, ty był w owym dylizansie, to ten przypadek kosztowałby był moją siostrzenicę przeszło 800,000 złotych.

— Jak to, 800,000 złotych? — zawołał Kossowski wpatrując się z zadziwieniem w stojącego przed nim Pułkownika.

— Tak, mój kochany, 800,000 złotych. Jutro będzie otwarty testament naszej kuzyny Urszuli; łatwo przeto pojmujesz....

— Jutro? —

— Tak jest jutro, o godzinie dwunastej.

Wszak Leopold musiał ci to wszystko opowiedzieć? Albo też może nie miał tyle czasu, ażeby ci ten dziwny warunek w testamencie objaśnić.

— W samej rzeczy, w tym względzie jestem zupełnie bez informacji.

— No, kiedy tak, to ja cię zapoznam z temi okolicznościami. To jednak musisz już wiedzieć, że nasza kuzyna Urszula przed rokiem zmarła, zostawiwszy po sobie przeszło 800,000 złotych. Przed śmiercią złożyła w sądzie swój testament z zaleceniem: że dopiero w rok i dzień jeden po jej śmierci ma być odpieczętowanym. Otóż jedna stara służąca, która ciągle i aż do ostatniego momentu jej życia przy niej była i której ona swoje najskrytsze myśli powierzała, uwiadomiła nas przed ośmiu dniami, że kuzyna Urszula ogólną successorką naznaczyła siostrzenicę naszą Anielę, ale pod tym wyraźnym warunkiem, że to kochane dziecko w dniu otwarcia testamentu musi już być zamężne; w przeciwnym razie, cały ten ogromny majątek przypada rozmaitym dalekim krewnym naszej zmarłej kuzyny. Ta wiadomość, jak piorun w nas uderzyła. Jak tu w tak krótkim czasie, znaleźć stosowną partyę dla naszej Anieli? Rozpacz wszystkich nas opanovała, i już by-

liśmy przygotowani do straty tak znacznego majątku który mogła była posiadać nasza Anielka; gdy w tem niespodzianie odbieramy list od jej brata Leopolda, zaczynający się od słów: — „Wszystko uratowane; Anielka w przeciągu tygodnia będzie zamężną.“ — W pierwszym momencie wzięliśmy to za czystą waryację; ale Leopold z takimi pochwałami pisał o tobie, w tak zaszczytnem świetle przedstawił nam ciebie, tak czule opisał nam braterską przyjaźń, którą od szkół jeszcze połączeni jesteście, żeśmy oboje, ja i moja siostra, przyzwolili na wzbogacenie i uszczęśliwienie naszej dobrej, kochanej Anielki. Reszta, mój kochany, już ci wiadoma. Leopold dniem i nocą pojechał do ciebie, ofiarował ci rękę swej siostry, którą z wdzięcznością przyjąłeś, i w parę godzin jesteś moim siostrzeńcem i mężem naszej kochanej Anieli. Moja siostra, Leopold i ja, jesteśmy jedyne osoby, którzy wiemy o tem impromptu małżeństwie. Ażeby jednak stósowny pozór zachować, ogłosiliśmy wszędzie, żeś już dawno znał był Anielkę, i już dawno starałeś się o jej rękę, i dla tego to ja, Anielka i moja siostra, przybraliśmy postacie dawnym twoich znajomych. To jest cała historia, mój kochany siostrzeńcze. —

W momencie, kiedy Pułkownik skończył swoje opowiadanie i Kossowski z szczerą otwartością chciał wyznać że on nie jest tym na którego czekano, nadzwyczajny ruch dał się słyszeć w salonie.

— Spiesz się, mój kochany — zawołał Pułkownik — spiesz się i podaj rękę twej młodej małżonce.

Ten w przekonaniu, że do stołu iść mają, i pragnąc się wprzód posilić, zanim mu przyjdzie być za drzwiami wyproszonym, przytłumil wyrzuty sumienia.

— Jeżeli teraz się odkryję, — myślał sobie — to sprawię powszechne zamieszanie i rozpacz w tej szanownej familji, i w tym razie pewnoby nikt niemyślał o jedzeniu. A więc niech zostają w błędzie aż po kolacyi, a tym czasem przynajmniej głód mój zaspokoje.

I podał rękę Anieli, która drżąc, ale jednak z miłym uśmiechem, swoją mu podała.

Sumienie Kossowskiego wielkiego szwanku doznało.

Tym czasem goście nie zatrzymali się w sali jadalnej, lecz w kaplicy, w pałacu tym będącej, która rześisto była oświecona i kwiatami i girlandami przystrojona. Przybyli usta-

wili się po obu stronach kaplicy — dwie poduszki z karmazynowego axamitu, wskazywały gdzie mieli uklęknąć narzeczeni. — Godzina dziesiąta właśnie uderzyła. —

Blizko dwudziestoczworo godzinnym postem osłabiony, odurzony różnemi wzruszeniami tego wieczora, zaślepiony pięknnością dziewczę, której drżąca ręka w jego spoczywała, a być może że i świetnym majątkiem, który on jej, a raczej ona jemu będzie miała do podziękowania — a zresztą może też i popchnięty awanturniczą przygodą, tak miłą dla wieku młodzieńczego — o mało co Kossowski nie uległ tyłu gwałtownym pokusom. Postąpił z obok przy nim idącą Anielą aż do miejsca przeznaczonego dla naręczonych. — Aniela uklękła na axamitnej poduszce — i on sam już zginał kolana — gdy w tem jego sumienie wzburzyło się na ten czyn nieuczciwy którego chciał dopełnić. Obejrzał się na około, poszukał wzrokiem Pułkownika i spostrzegłszy go stojącego przy wchodzie do kaplicy, poszedł do niego chwiejającym się krokiem i rzekł mu do ucha:

— Szanowny Pułkowniku, wyjdźmy na moment, mam ci coś powiedzieć.

— Służę ci — odparł starzec, którego przestraszyła raptowna bladeść młodzieńca.

Wyszedł więc z nim, i poprowadził go w najbliższą aleję parku, zapytując się z niespokojnością:

— Cóż ci jest?

— Pułkowniku — rzecze Kossowski — ja nie jestem ten na któregoście czekali.

Na te słowa, przerażony starzec o mało że nie padł na ziemię; szczęściem że przy nim tuż stała ławka, na niej więc spoczynawszy, zawołał.

— Jak to! więc nie jesteś Kossowski?

— Kossowski jestem, ale nie ten na którego czekacie, — odparł młodzieniec, i w krótkości z największą otwartością opowiedział nieporozumienie jakim został do domu wprowadzony, jako też błąd jego w jakim został aż do prezentacyi w salonie, i prawdziwe z jego strony powody, które go wstrzymywały tak długo od zrobienia tego oświadczenia.

— Ach, panie, panie! — zawołał Pułkownik w rozpacz — cóż pocniemy nie szczęśliwi? Cóż się z nami stanie? Moja siostrzenica bez majątku, o co zresztą mniej-sza, ale jej reputacya zagrożona, stracona, podobnie jak jej matki i moja. W obecności więcej jak pięćdziesięciu osób oświadczyliśmy, wszyscy troje, że pana od dawna znamy.

Jakże się teraz przyznać do kłamstwa bez wystawienia się na pośmiewisko, na niezawodne szyderstwo? Moja siostra i biedna Aniela mogą to życiem przypłacić.

— Rozkazuj panie Pułkowniku, a ja gotów bezwarunkowo być ci posłusznym, ażeby to nieszczęsne, nieporozumienie, o ile się da naprawić.

— Cóż ja mam rozkazywać? — odrzekł starzec. — Już za późno, nie ma sposobu ratunku.

W tym momencie przybiegł od strony kaplicy mały posłaniec, ten sam który przywiózł mniemanego narzeczonego.

— Jaśnie wielmożny panie — rzecze — ksiądz już jest przed ołtarzem; wszyscy czekają na pana młodego i dziwują się że się tak opóźnia.

— Na pana młodego! — zawoła Pułkownik pomięszany.

— Co tu robić? — zapytał po cichu Kossowski. —

— Nic innego, mój panie — odpowiedział Pułkownik nagle i z rezygnacją; — jak tylko że się musisz ożenić z moją siostrzenicą. W prawdzie, ja cię nie znam; ale twoje szczere wyznanie, lubo trochę za późno, dowodzi żeś jest człowiek honorowy. Idź więc,

idź, w imię Boże, i bierz ślub z Anielą. Ale o tem nikomu ani słowa. To jest tajemnica o której tylko my dwóch wiedzieć możemy.

I skwapliwie poprowadził napowrót pana młodego do kaplicy.

Ksiądz staruszek pobłogosławił młodą parę; po tym uroczystym akcie nastąpiła wspa- niała wieczerza, z wielkiem zadowoleniem głodnego pana młodego. A gdy już uczta kończyć się miała, przyjechał z miasta K*** regent, w obec którego kontrakt małżeński podpisany został.

Gdy to się odbyło, zniknął Pułkownik; pojechał on naprzeciw swego siostrzeńca Leopolda, bo obawiał się, że ten pewno wkrótce z owym prawdziwym Kossowskim przybędzie. Jakoż znalazł go w M*** w oberży, pielęgnującego swego przyjaciela Kossowskiego, który przy wywróceniu dylizansu, został mocno uszkodzony.

W krotkości opowiedział Pułkownik swemu siostrzeńcowi, wszystko co w D** zaszło; gdyż tu trzeba było koniecznie wymyślić jaką hystoryą, ażeby prawdziwego Kossowskiego nakłonić do powrotu do Warszawy.

I udało się; będąc już jednak ze strony swego przyjaciela spokojnym, Leopold, po-

zegnał go i pojechał z wujem do D***, oświadczając; że bez otrzymania satysfakcyi od niespodziewanego szwagra, rzecz ta się nieobejdzie. Pułkownik jednakże w ciągu drogi potrafił przekonać siostrzeńca swego: że reputacya Anieli wkłada na niego obowiązek, w oczach wszystkich obchodzić się ze szwagrem, jak z dawnym szkolnym przyjacielem.

Powodowany temi ze strony wuja uwagami, jako i miłością braterską, przyjechawszy do D*** rzucił się Leopold w objęcia swego nieznanomego przyjaciela; później zaś stał się dla niego szwagier tak droгим, jak nim był pierw- wej dawny przyjaciel szkolny.

Tegoż samego dnia o godzinie 42, w południe przeczytany został urzędownie testament kuzyny Urszuli. Aniela, jako już zamężna, bez najmniejszych kwestyi uznana została ogólną successorką zmarłej testatorki.

Kossowski jest dobrym mężem, zacnym obywatelem, — i przypadek, łącząc ich oboje, zrobił ich szczęśliwsiemi, jak wiele innych małżeństw z własnego wyboru skończonych.

Aniela kocha szczerze swego męża — a ten ubóstwia swoją śliczną i wzorową żonę — jednakże dotąd jeszcze jej się nie przyznał: że z głodu z nią się ożenił.

— A! Masy panie!

— Jak mi Bóg miły Mości Rdzieju — zawołały razem głosy panów Borskiego i Razowskiego którzy byli przyjechali i niepostrzeżeni, w czasie czytania pana Buńskiego, weszli do salonu.

Wszyscy z zadziwieniem zwrócili się do nich a pan Borski rzekł:

— Już my tu dawno masa pani! Pamiętam raz na polowaniu u księcia Dominika Radziwiła w Nieświeżu...

W tem wszedł lokaj i zaanonsował pana Szambelana Zwirskiego, co nas szczęśliwie uwolniło od historyi o polowaniu.

Szambelan Zwirski mieszkał niedaleko od Horodła i żył w przyjaznych stosunkach z Urskimi. Był to człowiek już nie młody, przyjemnej postaci, a całe obejście się jego wydawało człowieka który młodość spędził na wielkim świecie, i w dobrem towarzystwie. Dowiedziałem się później, że za świetności jeszcze domu Książąt Czartoryskich, najczęściej przesiadywał w Puławach, a na starość osiadł sobie w wiosce którą w bliskości Horodła posiadał.

Przybycie jego widocznie bardzo miłe było poństwu Urskiemu, bo ona zerwała się z ka-

napy i podała mu rękę na powitanie, a sam pan Urski zmienił zwykły frazes i zamiast:

— Bardzo ... Bardzo ...

powiedział:

— Niezmiernie ... niezmiernie ...

Wierzorem wszczęła się rozmowa o gospodarstwie. Pan Szambelan był wyborny gospodarz. Pan Bayko wielki znawca. Oni więc sami prawie mówili a my z prawdziwem zajęciem słuchaliśmy ich rozmowy, czasem tylko kilka pociesznych słowami pp. Borskiego i Razowskiego przerywanej.

— Przysłano mi — rzekł Szambelan — osobliwszy rodzaj kur, i z prawdziwą ciekawością uczę się ich zwyczajów.

— Ja, Mości Rdzieju — przerwał Razowski — widziałem kury z trupią główką.

— A ja z uszami, masy panie, niech powie, mój syn Fortunat, było to

— Wierzemy — przerwała pani Urska — ale cóżto za gatunek? — zapytała Szambelana — wszakże to i ja gospodyni, proszę mi więc opisać.

— Trudno jest — odpowiedział Szambelan — wszystkie szczegóły opowiedzieć; ale mój domek tak blisko, to każe je tu przywieźć.

— Nie trzeba, my pana odwiedzimy; wszakże to dawno już mieliśmy zrobić.

— Pani mię zrujnujesz — odpowiedział Szambelan — bo teraz gotów jestem codziennie jakieś gospodarskie osobliwości sprowadzać.

Po kilku jeszcze frazesach postanowiono, że pojutrze wszyscy pojedą do Szambelana, a że i ja byłem zaprosinami objęty więc także obiecałem przyłączyć się do karawany; ale że dzień jutrzejszy zostawał mi wolny, a miałem potrzebę być na chwilę w Koskach, postanowiłem więc pojechać nazajutrz z rana, i tegoż dnia wieczorem powrócić do państwa Urskich.

XVI.

Przed jedenastą jeszcze stanąłem w Koskach; kazałem konie popaść a sam wyszedłem do miasteczka. Interes mój był bardzo mały; potrzebowałem niektórych rzeczy do domu i rad byłem aby je przywieziono przed moim powrotem. Krótko więc bardzo zabawiwszy w miasteczku powróciłem do karczmy w której moje konie się popasały.

Wszedłszy do tak nazwanej gościnnej izby, zobaczyłem w rogu za stołem siedzącą kobietkę malutką w kapeluszu dobrze pogniecionym, z miną smutną i jakby płaczącą. My-

ślałem że jej się w drodze przypadek jaki wydarzył, zbliżyłem się żeby zapytać co się stało i czy nie mogę być jej użytecznym? — ale jak tylko ruch mój postrzegła, raptem w kącie się wsunęła jakby chciała wleźć w ścianę. Zatrzymałem się przeto i sądząc że moja przytomność jest jej nieprzyjemną chciałem iść do stajni, ale zobaczyłem parokonną wózek zatrzymujący się przed karczmą. Z niego wysiadł młody dorodny człowiek, a jak tylko wszedł do izby poznałem młodego Ryńskiego którego widziałem był w Widzińcu u państwa Kryckich i na którego ojciec tak gorzko się żalił: że nie wie wiele dorózek jest w Warszawie, i jak W. Książę nazywa Cesarza kiedy są sam na sam.

Ryński poznał mię także i zbliżył się powitać mię. — Czy i pan na jarmark? — zapytał.

— Nicem nie wiedział o jarmarku — odpowiedziałem — i zaraz wyjeżdżam.

Ryński miał coś odpowiedzieć i już otwierał usta, kiedy kobieta w kącie siedząca poznała go, przyskoczyła i rzuciwszy mu się na szyję rzewnie płakać zaczęła.

Myślałem zrazu że to jakiś romans, ale wnet zobaczyłem niepodobieństwo. Ta pani miała lat z pięćdziesiąt. Ryński zdumiony zapytał z troskliwością:

— Co pani jest? co się stało?

— Ach! — zawołała lkając — jakie to szczęście napotkać znajomego, kiedy się człowiek daleko od domu odbije.

Widziałem na twarzy Ryńskiego zadziwienie które mu usta zamykało.

— Czy pani tak z daleka przyjeżdżasz? — zapytałem.

Ryński podniósł ramiona i rzekł;

— O pięć wил ztąd mieszka.

— Ale nigdy nie byłam tak daleko; mój mąż miał tu przyjechać i niema go!

— A pani dawno już przybyłaś?

— Już będzie dobre pół godziny; ale — dodała — już ja się pana Ryńskiego nie puszcze.

Prosiłem Ryńskiego żeby mię prezentował tej pani, i dowiedziałem się że to jest pani sędzina Zgoska. W rozmowie powiedziała mi że od czasu za mąż pójścia, to jest od lat-przeszło trzydziestu, niewyjechała z domu dalej jak o milę do jakiego sąsiada i to na parę godzin.

Jakkolwiek bądź uspokojona spotkaniem znajomego z tejże samej odległej okolicy, i poznaniem mnie, o którego przybyciu już była słyszała, zaczęła być mowną i rozpowiadać nam rozmaite wypadki które jej się

zdarzyły w czasie konkurów pana Sędziego. Zachodziliśmy się od śmiechu z naiwności tych opowiadań, kiedy Ryński zapytał: — czy długo Pan Sędzia starał się?

— Nie długo — odpowiedziała — lat dziesięć.

— To nie długo!

— Za moich czasów panny były skromniejsze; nie tak jak teraz, co to ledwo się kawaler oświadczy, to za kilka miesięcy już i ślub. Dawniej panicz musiał się dobrze nalatać nim panna zdecydowała się pójść za mąż. Ja dotąd żałuję żem jeszcze ze dwa lata nie odwlekła decyzji, chociaż zmuszona byłam okolicznościami.

— A! — zawołał Ryński, uśmiechając się.

— Tak jest — przerwała pani Zgoska. — Mój mąż, jak pan wiesz, jest straszny szalapat. Wpadł do mojego pokoju z rana, kiedy już miałam wstawać z łóżka. Ja w krzyk, obwinęłam kołdrę koło siebie, a on siadł na ziemi i powiedział spokojnie: — Póty ztąd nie wyjdę aż mi panna Tekla przyrzecze. — Sama nie wiedziałam co począć; tu pchły aż podnoszą, a człowiek nie śmie się ruszyć: koniec końców, żeby się go już pozbyć, przyrzekłam i w sześć miesięcy potem poszłam za niego. Ot jest przecie — dodała biegnąc ku

drzwiom, w których pokazał się człowiek duży, otyły z czarną kędzierzawą czupryną, po polsku ubrany. Był to pan Sędzia Zgowski.

— Ach Lubuniu — rzekła do niego, żona — już myślałam że nie przyjedziesz; ja tu w takiej byłam tarapacie!

Lubunio wyprostował się i odpowiedział z powagą:

— Mnie się zdaje się, że kiedyś obiecał.....

— Prawda Lubuniu, prawda, ale mi tak było tęskno!

— Mnie się zdaje się, że nie było czego tęsknić!

— Prawda Lubuniu, ale sama jedna, tak daleko od domu!

— Mnie się zdaje się, że pięć mil to nie daleko.

— Prawda Lubuniu, ale ... —

Nie chcąc dłużej podsłuchiwać małżeńskiejsz explikacy, wyszedłem do sieni; konie moje nie były jeszcze popasione, nie chciało mi się po brudnem miasteczku przechadzać, dosyć więc prędko wróciłem do izby. Państwo Zgowszcy już byli wyszli i zapewne zabrali z sobą Ryńskiego, bo już ich wszystkich nie było. Ale na to miast zastałem dwóch nowych podróżnych. — Dwa wózki przed karczmą stojące dowodziły że nie razem przyjechali, a po ich obejściu

widać było że się nie znają. Każdy chodził po przeciwnym boku izby i ani mówili, ani nawet spojrzeli na siebie. Nie mając żadnej ochoty wchodzić w rozmowę, zasiadłem sobie pod piecem i patrzałem w milczeniu.

Jeden z tych podróżnych był młody jeszcze człowiek, przystojny, barczysty, i zdawało się że trochę znudzony, bo przechadzał się z niecierpliwością. Drugi, cokolwiek starszy, w habicie bernardyńskim, spokojnie sobie chodził, coraz rzucając okiem na sporą sakwę którą był przy drzwiach na ławie położył.

Po chwili, pierwszy zapytał:

— Ojciec dobrodziej na jarmark?

— Tak panie, po kwescie.

— Aleśmy nie wiedzieć dla czego tak wcześniej przyjechali, jarmark dopiero jutro.

— Trudno byłoby znaleźć mieszkanie.

— Prawda, prawda! ale teraz djable nudno! Czy ksiądz nie grywasz w karty?

— Czasem, w maryasza.

— To może zrobimy partyjkę?

— Bardzo chętnie.

Oba więc zasiedli przy stole, i ja się zbliżyłem.

— Może i pan nam pomoże? — rzekł pierwszy — tobyśmy sobie w pulkę zagrali.

— Bardzo żałuję — odpowiedziałem —

ale zaraz muszę wyjeżdżać więc nie mogę do gry zasiąść.

— Szkoda! wielka szkoda!

To powiedziałwszy, rozdał karty i gra się zaczęła.

Kiędz zadał kralkę, drugi zabił tuzem

— Zjedźże djabła panie Floryanie! — zawołał Braciszek; potem znowu coś zadał równie niepomysłnie i znowu zawołał: — Zjedźże djabła panie Floryanie!

Nareszcie przyszło do ostatniej; kiędz długo przewracał karty, myślał nad zadaną, i w reszcie odrzucił. Przeciwnik jego wziął kartę i pokazał Pamfila!

— Zjedźże djabła panie Floryanie — zawołał kiędz zaperzony!

Rozdali karty na nowo; ale w przód nim grać zaczęli przeciwnik kiędza zapytał:

— Jakże Ojcu dobrodziejowi na imię?

— Bazyli — odpowiedział Bernardyn, i zadał tuza.

Drugi nie mając kozery, odrzucił i zawołał:

— Zjedźże djabła księżu Bazyli!

Kiędz zadumiony, złożył karty, i rzekł tonem wymówki:

— Za cóż ja mam zjeść diabła?

— A ja za co? wszak jegomość już mi kilka razy to powiedziałeś!

— Ja? Panu?

— A zapewne, wszak ja się nazywam Floryan.

— A czyż ja to wiedziałem; to moje takie przysłowie — odpowiedział ksiądz zmieszany.

Wszyscy w głos roześmieliśmy się; antagoniści przeprosili się wzajemnie; w tem Piotr wszedł z oznajmieniem że konie już zaprzężone. Pożegnałem więc grających, i szczerze żalując że mi czas niepozwala zostać na jarmarku, który byłby mi niewątpliwie różne pocieszne sceny przedstawił, wsiadłem do pojazdu i wróciłem do Horadla.

Zastałem tam tylko Szambelana i pp. Bayko i Buńskiego; pp. Borski i Razowski, nie znajdując sposobności opowiadania nadzwyczajnych myśliwskich wypadków, odjechali. Za to, nie długo po moim przyjeździe nadjechał Michał Lister. Zdziwiłem się że uprzejmość pp. Urskich niebyła dla niego tak serdeczna jak dla tylu innych których już widziałem w Horodle; a Szambelan był dla niego tak zimny, tak obojętny, że wyraźnie pojąłem, iż musiało pomiędzy niemi zajść coś takiego, co nie mile zostawiło wspomnienie. Ale trudno było zapytywać o to; — jakkolwiek więc ciekawość moja była podnieconą, musiałem przestać na uważaniu; — ale i to niczego mi nie nau-

czyło, Michał bowiem oświadczył że jedzie na polowanie w Piński powiat i przejazdem tylko wstąpił odwiedzić pp. Urskich. W istocie ledwo małą godzinkę zabawiwszy, odjechał.

Sam nie wiem dla czego to mię tak zainteresowało, że postanowiłem szukać sposobności dowiedzieć się przyczyny tego zimnego obejścia się z Michałem, i wyznaję: że nadzieja dojścia tego znacznie powiększyła przyjemność, którą sobie obiecywałem z wizyty do Szambelana.

Na drugi dzień wyjechaliśmy około jedenastej i w parę godzin stanęliśmy przed niewielkim domkiem otoczonym kwiatami. Pan Szambelan, który był nas uprzedził, wyszedł na ganek ażeby podać rękę pani Urskiej i wprowadził nas do domu. Pokoje hollenderskiej czystości, posadzki przezroczyste, meble błyszczące dowodziły, że Szambelan kochał się w porządku i dobrego gustu elegancyi.

Po chwili odpoczynku podano nam lekkie śniadanie, złożone z różnych zimnych przysmaczków; — potem obeszlśmy ogród i gospodarstwo Szambelana, wszędzie ten sam porządek, tę samą czystość znajdując. Wdzieliśmy owe kury, które były pozornym powodem naszego przybycia, ale pan Bayko

tylko mógł rzadkość ich ocenić, a że admiracya jego była wielka i nie podejrzana, — wnosić należy że w samej rzeczy były rzadkie i godne uwagi. — Wszystko to było bardzo zajmujące, ale niezaspokajało mojej ciekawości, i już traciłem nadzieję, kiedy niechcąc pani Urska ziściła to żądanie.

Pod koniec obiadu rzekła uśmiechając się:

— Pan Michał tak nas prędko opuścił, że prawdziwie boję się czy nie obrażony, żeśmy go może nie dosyć uprzejmie przyjęli.

— Nie wielka szkoda — rzekł sucho Szambelan.

— Ja wiem — odpowiedziała pani Urska — że pan go nie lubisz; — cóż mógł ci zrobić?

— Mnie, nic zapewne; ale jednemu memu przyjacielowi bardzo wiele. Mam w ręku dowody że jego filozofija w którą to, nie wiem za co, uwierzono, jest płaszczem którym okrywa dumę; że nic nieszanuje, nic niema świętego; że żadne szlachetne uczucie nieodzywa się w jego sercu; że wszystko zrobić gotów byle dopiąć swojego celu, który nigdy nie jest takim, aby się do niego mógł przyznać.

— A! Szambelanie! — zawołała pani Urska — to zawiele; taka sroga krytyka nie podobna do pana.

— Mówię co myślę — odpowiedział spokojnie Szambelan — a gdyby tego potrzeba było, tobym i dowiódł.

Po chwili dodał: — Przykro jest, tak gorzko się wyrażać o człowieku młodym jeszcze; ale kto widział cierpienia biednego Adolfa, nie może myśleć bez zgrozy o takim braku szlachetnych uczuć, o takiej interessowności, tem bardziej widząc jak mu się udało wszystkich oszukać, pokrywając się tą jakąś rubaszną hipokryzyą, której trwanie samo dowodzi głęboko zepsutego serca, nie doświadczającego nigdy ani na jedną chwilę pocziwego wzruszenia.

To rzekłszy, twarz Szambelana nabrała surowej powagi i widocznie się zasmuciła. Wszyscy zamilkli, a jakieś zimno zdawało się wciskać do serca. Po chwili nareszcie pani Urska rzekła:

— Więc to jest prawda: Michał był przyczyną tego rozdziału, którego całą winę Adolfowi przypisano?

— Nie można powiedzieć żeby i Adolf nie miał sobie nic do wyrzucenia; ale on grzeszył z bólu serca, który mu zimna i nikczemna hipokryzya póty odnawiała, póki go nieprzyprowadziła do ostateczności.

— O! cobym dała za to, żeby się wszy-

stkich szczegółów tego wypadku dowiedzieć! — zawołała pani Urska. — Pan powinienbyś zlitować się nad ciekawością kobiecą i opowiedzieć nam jak się to stało.

— Opowiedzieć, — rzekł Szambelan — to byłoby za trudno, z resztą lękałbym się żeby niebyć o parcyalność posądzonym; ale jeżeli pani już koniecznie żądasz tego, to przyniosę pani kiedyś listy Adolfa, które wszystko wyświecą; potrzebuję tylko trochę czasu żeby je porządnie ułożyć.

— Będziemy więc czekać pana jutro, — przerwała pani Urska, — ale pamiętaj pan że jak nie przyjedziesz, to będziesz mię miał na sumieniu, bo pewno dostanę gorączki.

Szambelan się uśmiechnął, ale zimno które nas było ogarnęło, zatamowało rozmowę która już do wesołości nie wróciła. W krótkce więc pożegnaliśmy Szambelana, pani Urska wsiadając do pojazdu raz jeszcze przypomniała mu jego obietnicę i otrzymawszy powtórne zapewnienie przywiezienia korespondencji Adolfa, uspokojona, kazała ruszyć.

Cały wieczór przeszedł nam poważnie, — wszyscy mieliśmy przed oczami zasmuconą minę Szambelana i nie mogliśmy już wrócić do tej miłej gawędki, która nas wczoraj tak przyjemnie zajmowała. Dosyć więc wcześniej

rozeszliśmy się; — nie potrzebuję dodawać, że zmieniłem mój projekt wyjazdu i zostałem na dzień następny.

Szambelan oceniając zapewne niecierpliwość pani Urskiej, przybył około południa i zastał nas już zgromadzonych w salonie przy śniadaniu.

— Poznaję pana — zawołała pani Urska — zawsze uprzejmy dla dam, i kaprysom nawet pobłażający.

— Takim kaprysom jak pani — odpowiedział Szambelan — z dobrego serca pochodzącym, miło jest dogadzać; ale niechaj mię pani przedwcześnie nie chwali.

Pani Urska uśmiechnęła się i rzekła:

— Niech jednak pan nie sądzi że moja ciekawość wybija mi z głowy pamięć na obowiązki gospodyni.

To mówiąc, ręką wskazała mu krzesło przy sobie. Szambelan zasiadł do śniadania. Pani Urska z delikatnością dobrze wychowanej kobiety, ani wspomniała o manuskrypcie, jakby lękając się żeby Szambelan nie przypisał choć w części przynajmniej, ciekawości, uprzejmości z jaką go przyjmowała. Po śniadaniu nawet, jakeśmy już weszli i zasiedli w salonie, inną rozmowę zaczęła. Ale Szambelan umiał ocenić tę jej delikatność,

i jakkolwiek rad był nieprzystępować do explikacyi, rzekł:

— Nie wiem jak się wytłomaczyć! Wczoraj byłem tak pewien że listy Adolfa są w mojem biurku!....

— Więc pan nie przywiózł?

— Nie, pani. Ale posłałem po nie, i może być pani pewną, że za dni kilkanaście przybędą. Zostały w moim domku na Ukrainie, i przy pierwszej posyłce będą przywiezione.

— Cóż robić, — odpowiedziała pani Urska — niech nam pan przynajmniej opowie jak to było.

— Cały interes by zniknął w opowiadaniu; niechaj więc pani dla własnej przyjemności poczeka lepiej: pare niedziel prędko przeminą, a ja zaręczam panią, że tą razą zawodu już nie zrobię.

— Ha! cóż robić, — rzekła pani Urska — kiedy inaczej być nie może, to niech i tak będzie.

Mała ta chmurka w moment przeszła; pani Urska pogroziła Szambelanowi z miłym uśmiechem i rzekła: — Pamiętaj pan że za drugim takim zawodem będzie kwita z przyjaźni.

On pocałował rękę którą mu podała, a pan Bayko rzekł:

— Ja myślę, że ponieważ zebraliśmy

się tutaj dla czytania, to niewypada łatwo projektu tego odstępować. Pewien jestem że gdybyś pani surowo rozkazała Buńskiemu, toby on znalazł co w swoim pugilaresie.

— A prawda! — zawołała pani Urska — panie Buński, musisz koniecznie nam co przeczytać.

— Tą razą — odpowiedział Buński — prawdziwie zaręczam że nic nie mam, oprócz powiastki nic nieznaczącej, bez żadnego interesu

— Niech pan nam sąd o tem zostawi — przerwała pani Urska; — wszak sam pan widzisz że tak zostać niemożemy.

— Jak wola! zaraz więc przyniosę.

Skoro Buński wyszedł, Szambelan rzekł:

— Teraz mam nadzieję że mi już pani szczerze przebaczysz?

Pani Urska uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— To tylko zawieszenie broni, zupełna zgoda dopiero po przywiezieniu listów Adolfa

Na to Buński powrócił i rzekł:

— Ta powiastka jest prawdziwa, lubo nie wiem w jakiej epoce ten fakt bardziej śmieszny niż interesujący miał miejsce. Napisałem ją po usłyszanem opowiadaniu na jednym wieczorze w Warszawie.

— Słuchamy! słuchamy! — zawołała pani Urska, a Buński dodał:

— Cała rzecz jest tak nic nieznacząca, że nie wiedziałem nawet jaki tytuł dać tej powiastce i nazwałem ją:

Zdrów jestem. —

dodając na epigraff dawne polskie przysłowie:

Co kurze na myśli?

Proso!

To rzekłszy zaczął czytać.

Kilka już miesięcy upłynęło od smutnych wypadków które spowodowały były liczne aresztacye, a jeszcze klasztor na więzienie przerobiony, napelniony był więźniami niecierpliwie oczekującymi wyroku. W prawdzie trudno było mieć nadzieję aby ten wyrok był pomyślny, bo wykroczenia były jawne i dobrze dowiedzione, jednakże, pożądany był dla więźniów, bo miał zmienić ich nudne, beczynne i niepewne położenie.

Traktowani z ludzkością mogli widywać się pomiędzy sobą, tem bardziej, że sprawa już była wyświeconą, nie mieli przeto o co umawiać się. Więc tak jak na świecie, poformowali się w grupy stosownie do wycho-

wania, wyobrażeń lub dawnych stosunków. Czterej pomiędzy niemi, lubo najwięcej skompromitowani, używali jednak także nieocenionego przywileju widywania się i przepędzania razem długich chwil niewoli.

Jednego wieczora znajdowali się wszyscy czterej w niewielkiej sali. Strój ich zaniedbany, tygodniowe brody, czoła zasępione dowodziły że nieczęste ze światem mieszkali stosunki. Dwóch grało w pikietę, trzeci niedbale patrząc na nich a widocznie myśląc o czem innem, to wypuszczał z ust gęste kłęby dymu którego mu skwiercząc dostarczała na wpół wypalona lulka, to ułamanym końcem szczypców zdejmował grzybki z grubego knota palącej się na stole lojówki. Czwarty, chodził zadumany; ruchy jego nagle, nieprzewidziane, zdawały się zależeć od przypadku i niebyć wcale kierowane wolą. To postępował z wolna, to nagle przyspieszał kroku, to się zupełnie zatrzymał; czasem machał rękami jak gdyby czegoś dowodził, to potarł z niecierpliwością czoło, jakby nie znajdując myśli której szukał; nareszcie, stanął jak wryty, ścisnął ręce tak że mu wszystkie palce zatrzęszczały i wyszedł z celi.

— Nasz pan Karol stracił już widzę zupełnie odwagę — rzekł Wincenty, wyjmując

z ust cybuch — miejsca zagrzać niemoże, a jeszcze mu długiej cierpliwości będzie potrzeba.

— Niesądzę — odpowiedział ieden z grających — ażeby stracił odwagę; wszakże mu nie gorzej jak nam, a przecie dość nieźle położenie nasze znosiemy; smutny jest prawda i znudzony, ale to też i nie ma się czego cieszyć.

— Gdybyś go był znał dawniej panie Narcyzie, tak jak my go znali — przerwał Jan (drugi z grających) — tobyś widział że w nim to opuszczenie się, nie dowodzi tylko smutku i znudzenia, ale zupełną stratę odwagi. Wszak to on niedawno jeszcze był jednym z najpierwszych elegantów.

— He! — zapytał Wincenty mocno głuchy i ręką zwinął ucho w trąbkę dla słuchania odpowiedzi.

Jan powtórzył co był powiedział.

— Pamiętam — rzekł na to Wincenty — jakeśmy z niego żartowali że kollekcyą bród zbiera, i w samej rzeczy, — dodał pokazując palcem części twarzy o których mówił, — miał wszystkie brody znajome: bart, mundbart, sznurbart, bakenbart, ha! ha! ha!

— Mać to on je i teraz — przerwał Jan — ale tak zapuszczone, tak pozrastale, że do dzikiego człowieka podobny. Niedawno pe-

wien był że żadna kobieta spojrzeć na niego nie może bezkarnie, a teraz więcej opuszczony od nas; źle się z nim dzieje.

Tym czasem Karol w istocie jakąś niespokojnością dręczony, zaledwo parę razy przebiegł po korytarzu, powrócił znowu do sali, do nikogo niezagał, siadł w kącie, i zaczął coś pomrukiwać pod nosem.

— Nie zagrasz z nami w pikietę? — zapytał go Jan.

— Nie, — mruknął Karol, obrócił się do okna dla dania poznać że nie chce rozmawiać i zaczął z niecierpliwością bębnić palcami w szybę.

— Co ci jest? — rzekł Wincenty, — czy niezdrów jesteś?

— Nic — od powiedział kwaśno Karol, i ziewnął głośno.

Wincenty podniósł ramiona, potrząsł głową, poprawił świecę, i zaczął znowu dym ciągnąć, a Jan tym czasem przemieszawszy karty dał je do zebrania. Już miał rozdawać, kiedy nagle słyszeć się dało na korytarzu mocne stąpanie i brzęk ostrogów, sztyldwachy broń sprezentowały, drzwi się otworzyły i wszedł przystojny, średniego wzrostu człowiek w kiryssyjskim mundurze. Był to Major Komendant więzienia, wszedł z uśmiechem na ustach i odedrzwiał zaraz zawołał:

— Mam dla was dobrą nowinę; od jutra wolno wam chodzić po ogrodzie.

Wincenty, Jan i Narcyz razem prawie zawołali: — ach chwała Bogu! — Karol tylko kiwnął ręką odniechcenia, jakby go to bynajmniej nieobchodziło i znowu obrócił się do okna.

Ale — dodał Major — nie będziecie mogli chodzić razem tylko po jednemu!

— Kiedy tu możemy być razem — rzekł Narcyz.

— Tu was nikt niewidzi — przerwał Major.

Te słów parę dostateczną były odpowiedzią; więźniowie podziękowali mu za ten nowy dowód jego ludzkości i jak tylko wyszedł, zaczęli układać się pomiędzy sobą o godziny spaceru.

Ta okoliczność, jakkolwiek mała na pozór, ale nowa i przerywająca jednotonność więzienia, prawdziwem była szczęściem dla więźniów i wyłącznie ich zajęła. Wincenty postawił lulkę. Jan odsunął karty i rozmowa zwróciła się na jutrzejszą przechadzkę. Karol kilkakrotnie zapytany o której godzinie zechce wyjść do ogrodu, odpowiedział nakoniec z niecierpliwością: — Róbcie sobie co chcecie, mnie wszystko jedno! — Bez niego przeto

ciągnęła się rozmowa. Przechadzkę tę za takie szczęście każdy uważał, że jeden drugiemu chciał wcześniejszą godzinę ustąpić, i nareszcie, dla skrócenia tej walki, wyciągnięto cztery karty które zdecydowały: że o jedenastej wyjdzie Narcyz, potem Wincenty, potem Karol a Jan na końcu.

Tej nocy nikt prawie oka niezamrużył nadzieja wyjścia za korytarz i znalezienia się na świeżem powietrzu, tak opanowała umysły, że sen przystępu nie znalazł, a kiedy nazajutrz z rana więźniowie znowu się zeszli, niepodobna im było prowadzić rozmowy,

Narcyz, który miał najpierwszy wychodzić, co moment patrzył na zegarek, i doczekawszy się wreszcie jedenastej, pożegnał swoich towarzyszków; niestracił ich jednak z oczu, bo ciągle stali w oknie i patrzyli na chodzącego, jakby dla utrzymania pocieszającej myśli «w krótkce i ja wyjdę!»

Każdy po przechadzce wrócił do celi wspólnej, Karol tylko wprost poszedł do swojej i już się dnia tego towarzyszom niepokazał.

— Nic go nie rozrywa — rzekł Wincenty zapalając lulkę.

Dajmy mu pokój — dodał Jan — może to przesilenie, przenudzi się i będzie potem weselszy. Nie zagramy w Pikietę?

— Dobrze — odpowiedział Narcyz, i siedli do gry.

Ten wieczór tak się zaczął jak dawniejsze; lecz czy to sprawiła przerwa jednostajności, czy wpływ dawno nieużywanego powietrza, humor więźniów był weselszy, twarze ich czerstwiejsze, zabawa, lubo też sama, więcej im przynosiła rozrywki, Pikiet w którego dotąd z największą grywali obojętnością tak ich interesował, że można było usłyszeć, to śmiech to gniew na złą kartę. Wincenty nawet skóńczywszy lulkę zaczął o przeszłości rozmawiać i nakoniec coś zagwizdał wybijając takt po stole; zdawało się wprowadzić słuchającym że udawał świstanie odległego wichru, bo nic niesłyszając tonów miarkować niemógł, jednakże wyprowadził ich w krótkce z niepewności uwiadamiając, że to był mazurek Kurpińskiego. Nakoniec znużeni lubo krótką przechadzką, wszyscy uczuli potrzebę spoczynku, każdy poszedł do siebie, i o dziesiątej nic już słyhać niebyło oprócz jednostajnego stapania szyldwachów i półgłosem nuconą przez jednego z nich melancholiczną dumkę.

Nazajutrz o ósmej z rana Jan, Wincenty i Narcyz, już znowu byli razem. Każdy się pochwalił że się czuł zdrowszym i weselszym, Karol tylko nie przychodził.

— Wiecie — rzekł Jan — że niespokojny jestem o Karola; jeżeli to dłużej potrwa, to gotów zwaryować albo się zabić.

— He? — zapytał Wincenty.

— Powiadam — zawołał Jan głośnie — że Karol gotów zwaryować albo się zabić!

— Zapewne — odpowiedział Wincenty; — brzytwę nam nieodebrano, a w momencie melancholji, Bóg wie co może zrobić.

— Trzeba — rzekł Narcyz — mieć na niego oko.

— Cóż to pomoże — odpowiedział Jan — zawsze z nim być nie można, a na poderżnięcie gardła jednej chwili dosyć!

— Co tu zrobić? — rzekł Wincenty, na pierwsze jeszcze słowa Jana odpowiadając — nie można jednak zostawić go w tym stanie.

— Mnie się zdaje — przerwał Jan — że najkrócej, powiedzieć to Majorowi, to mu brzytwę odbierze.

— He? — zawołał Wincenty. —

— Mówię — powtórzył Jan głośnie — żeby mu Major brzytwę odebrał.

— To Karola obrazi.

— Lepiej że się pogniewa, niż gdyby się zabił; jak mu smutek przejdzie, to pojmie żeśmy to z przyjźni dla niego zrobili, i będzie nam wdzięczny.

Rozmawiając o tem smutnem położeniu towarzysza zasępiły się czoła więźniów. Długo dyskutowali, starali się wynaleźć jaki sposób zapobieżenia złemu, nieobrażając Karola, ale nic im lepszego nieprzyszło do myśli; zgodzili się wreszcie na użycie jedynego, jak im się zdawało, środka, to jest na uwiadomienie Majora.

Pomimo tego postanowienia nie mogli mówić o czem innem; każdy przytaczał jakąś uwagę, jakieś postrzeżenie które mu teraz dopiero przyszło do myśli. Różne czynności, ruchy, słowa Karola które pierwiej nie zwracały uwagi, teraz przychodziły na pamięć i porównane z obecnym jego moralnym stanem, dawały powód do licznych komentarzy i wniosków. Powoli; rozbieranie skutków i przyczyn zwróciło uwagę na własne położenie; każdy się mimowolnie zadumał i umilkł; każdy przeniósł się myślą to na łono osieroconej rodziny, to do przewidzianego przyszłego nieszczęścia; przytłumione westchnienia mimowolnie wydobywały się z piersi, lzy do oczów zbierać się zaczęły i nikt nie

myślał o przerwaniu milczenia, kiedy drzwi się otworzyły, i nie wszedł, ale wskoczył do celi Karol.

Wystrojony jak na bal, świeżo ogolony, wszystkie brody wymuskane, axamitna niebieska czapeczka srebrem haftowana błyszcziała na starannie utrefionej głowie, oczy mu się iskrzyły nadzwyczajnym ogniem, a uśmiech wesoły rozjaśniał lice.

— Nie mówiłem? — rzekł cicho Jan do Narcyza — nie mówiłem że zwaryuje?

Narczyż kiwnął głową i nie mógł nic odpowiedzieć.

Wincenty także uderzony tą nadzwyczajną zmianą, milcząc wpatrywał się w Karola, jakby chciał poznać w jego oczach czy ma przytomność umysłu.

— Cóżto wam? — zapytał Karol wesoło — miny ponaciągane, nosy spuszczone na kwintę! Co się wam stało?

— Nic się nam nie stało; cieszymy się żeś przecie weselszy.

— I chcielibyście wiedzieć przyczynę tego, prawda? — rzekł Karol,

— Prawda, że ta nagła zmiana.... — rzekł Narcyz....

— Dziwi was — przerwał śmiejąc się

Karol; — nie dziwcie się; ja lis szczwany, mnie rzucić z dachu to stanę na nogi.

— Cieszymy się... — rzekł Jan.

— I ciekawi jesteście — przerwał znowu Karol — ale musicie trochę poczekać, później dowiecie się. Oho! mnie w kaszy nie zjeść! Ale, ale — dodał po chwili — pozwólcie żebym ja dziś pierwszy wyszedł!

— I owszem — odpowiedział Narcyz.

— Ustapiemy ci nawet na dni kilka naszych przechadzek — dodał Jan — jeżeli chcesz tego.

— Dziękuję wam, dziękuję — odpowiedział Karol ściskając ich za ręce — ale tego nie potrzeba, niech tylko ja pierwszy wychodzę to dam sobie radę. — To rzekłszy spojrział na zegarek i zawołał. — O mój Boże! już jedenasta, a ja jeszcze tutaj! — Wykręcił się na jednej nodze i wybiegł.

— On pijany! — rzekł Wincenty.

— Nie zdaje mi się.

— He?

— Nie zdaje mi się — powtórzył Narcyz.

— Jeżeli nie zwaryował, — rzekł Jan — to chyba kogo spotkał w ogrodzie.

— Kogo mógł spotkać! ogród tak strzeżony!

— Więc chyba mu znak dano z jakiego okna, lub ma nadzieję ucieczki; zobaczymy to później; jeśli się może wymknąć to i chwała Bogu, będzie jedna mniej ofiara.

Tak gadając, wszyscy trzej zbliżyli się do okna z którego widać było ogród i chodzącego po nim Karola. Chodził tam i nazad po ścieszce równoległej do Klasztoru; otwartą książkę trzymał w ręku i udawał że czyta; ale wiele razy zwrócił w stronę miasta, to się prostował, zakręcał wąsy, poprawiał czapkę, nareszcie zatrzymał się, książkę wsunął za nadrze, ręce złożył jak do pacierza i przysnął kolano jakby chciał klękać. Po chwili zaczął znowu chodzić, lecz parę razy tylko przeszedłszy ścieszkę znowu się zatrzymał, obejrzał się na wszystkie strony czy go kto nie widzi, wyciągnął ręce ku miastu, potem prawą rękę przyłożywszy do serca lewą podniósł do czoła, jakby udając wojskowy ukłon, i wciąż się oglądając powolnym krokiem poszedł ku więzieniu.

— Kogoś widzi — rzekł Wincenty — i na mię z nim rozmawia.

— Cokolwiek z tego będzie — odpowiedział Narcyz — to przynajmniej dobrze ze go smutek odstał.

— He?

— Dobrze — powtórzył Narcyz — że przynajmniej weselszy.

— Nie długo on nam to powie — rzekł Jan.

— He?

— Powie nam.

Na to wszedł Karol z rozjaśnioną miną.

— Ruszajcie teraz na ogród, — zawołał, — jak wróćcie to sobie zagramy w Pikię.

Nikt mu na to nie odpowiedział; każdy wyszedł z kolei i wrócił; ale jak tylko się zeszli, wpadł Karol i wyzwał Jana i Narcyza do Pikię. Zasiedli do gry, Karol wciąż mówił; coraz to mimowolnie zwracał głowę ku oknu, to coś zamruczał i nagle zamilkł, to przybliżył rękę do lewego boku, jakby chciał wstrzymać gwałtowne bicie serca, to się porwał za głowę jak gdyby był czego zapomniął; słowem widać było że chciał zwrócić na siebie uwagę i wzbudzić ciekawość towarzyszy, ażeby być przymuszonym do zwierzania się; ale widząc że się nie pytają o nic, położył karty na stole i rzekł tonem wymówki:

— Cóż, i nie pytacie nawet dla czegoś taki wesół?

— Cieszymy się żeś wesół — odpowiedział Narcyz — i na tem nam dosyć.

Karol porwał żywo karty, rozdał je, i rzekł po chwili: — Bo to, widzicie, są rzeczy

które się najlepszym przyjaciółom nie powierzają.

— Dla tego też — odpowiedział Jan — nie robimy ci zapytań; sam najlepiej możesz sądzić co powiedzieć, a o czem masz zamilczeć; — to rzekłszy, zaczął grę swoją wyliczać: — sześć kart. —

— Dobrze — odpowiedział, zdekoncertowany Karol. —

— Piętnaście od króla. —

— Dobrze.

— Trzy króle?

— Dobrze.

Przez cały ten czas Karol odpowiadał nie patrząc w swoje karty.

— Czy zrucileś dwa asy? — zapytał Jan.

— A nie!

— Więc masz czternaście asów.

A! prawda! nie widziałem — odpowiedział Karol, i jak tylko ten raz przegrali, oparł się na stole i rzekł:

— No! kiedy już koniecznie chcecie, to wam i powiem, tylko — dodał szepcząc — na miłość Boską nie wygadajcie się.

— Chyba się boisz abyśmy się nie zwierzyli szyldwachom — rzekł Narcyz.

Karol się zamyślił, jakby szukając od czego zacząć; Jan i Narcyz milcząc oczekiwali zwie-

żenia, a Wincenty domyślając się o co chodzi przysunął się i swoim zwyczajem, ucho w trąbkę zwinawszy, oparł się na stole.

— Wpadłem — rzekł Karol po chwili namysłu — wpadłem w oko prześlicznej kobiecie.

— Kobiecie? — zawołali Jan i Narcyz.

— Tak jest — odpowiedział Karol — przepada za mną; ale na Boga was zaklinam nie mówcie o tem nikomu.

— Niewiedzieć co pleciesz — rzekł Jan — ot! grałbyś lepiej w Pikietę.

— Ale przysięgam że prawda! — zawołał Karol widocznie tem zaprzeczeniem rozdrażniony.

— Jakże nam to chcesz wmówić — odezwał się Narcyz, — czyż my to nie wiemy jak ogród strzeżony!

— To też nie w ogrodzie — przerwał Karol z niecierpliwością — ale za ogrodem ją widziałem. Jakem pierwszy raz wyszedł zobaczyłem ją w oknie, w tej wysokiej kamienicy na końcu ogrodu; widać że miała wychodzić, bo już była w kapeluszu, ale jak tylko się pokazałem wpatrzyła się we mnie jak w tęczę; i przez całą godzinę co bawiłem w ogrodzie ani się ruszyła. Widząc to, ukłoniłem się jej nieznacznie; ale nic wam pier-

wszego dnia nie mówiłem, bom jeszcze nie był pewny swego.

— A teraz jużś pewny? — zapytał Jan uśmiechając się.

— Mój kochany — odpowiedział Karol — ty wiesz że ja noszony ptaszek, i to dla mnie nie nowina; powiadam wam że jej wpadł w oko.

— Poczemże sądzisz o tem — rzekł Narcyz; — bo to że stała w oknie kiedyś pierwszy raz wyszedł, to jeszcze nic nie dowodzi.

— Słuchajcie — przerwał Karol. — Naza-jutrz zaledwom wszedł do ogrodu, spojrzałem w okno, aż moja pani znowu na warcie. Tą razą już nie myślała o wyjściu, ustrojona była we włosy i wygorsowana. Chciałem podejść bliżej, ale ogród przedzielony na dwoje, więc lubo do płotu doszedłem zawsze jednak o paraset kroków byłem od kamienicy. Bałem się zagadać, bo i głos mój byłby może do niej nie doszedł, i co gorsza, mógłby być być przez szyldwachów posłyszany; kto inny byłby stracił głowę, ale ja, nadto mam wprawy żeby się lada czem odstręczyć, pokazałem więc na serce, wzniosłem ręce, a widząc że to przyjmuje posłałem jej całusa.

— I pewnie ci go oddała? — rzekł Jan.

— A! co za nowicyusz! — odpowiedział

Karol — któraż od razu się zdeklaruje! dosyć że się nierozgniewała i nie odeszła; zdało mi się nawet że przycisnęła się do okna, ale to pewna, że kiedyś odchodził patrzyła na mnie aż do drzwi.

Po tem pierwszym zwierzeniu się, dzień każdy nowe jakieś przynosił postrzeżenie, które Karol w wieczór pod sekretem powierzał. Raz, nieznajoma była w czepeczku, — to znowu we włosach, — to w kapeluszu; — tak próbowała w jakim stroju najlepiej mu się podoba, — a jak raz dał jej znak ręką że jej włosy do twarzy, to odtąd przez trzy dni już zawsze się pokazuje we włosach. Raz zaledwo się pokazał we drzwiach, widział jak z okna leciała róża na ulicę, bo nieznajoma chciała mu tym sposobem dać znak miłości i oczekiwania. Teraz tak się już dobrze poznali, że cały czas przechadzek przepędzał na ukłonach i migach, na które wprawdzie nieznajoma jeszcze nie odpowiadała, które jednak mile były przyjmowane i ani razu nie odpędziły ją od okna. Nakoniec, jednego wieczora, — rzekł Karol zacierając ręce — dałem jej znak żeby do mnie napisała; zobaczemy styl Jejmości!

— Jakże ci list prześle? — rzekł Jan.

— A niech baba szuka sposobu! — od-

powiedział Karol, — co to ja darmo się umizgam!

Tak coraz upatrując nowe dowody miłości którą wzbudził, Karol, z wielką pociechą towarzyszków niewoli, prawdziwie był szczęśliwy i żył w ciągłym zachwyceniu.

Tym czasem, zapewne za wstawieniem się Majora, nowe nastąpiło ulepszenie w położeniu więźniów; pozwolono im razem chodzić po ogrodzie. Jak tylko Karol dowiedział się o tem, zawołał:

— Otóż teraz zobaczycie co za anioł, tylko chodźcie o jedenastej, bo już ją do tej godziny przyzwyczaiłem.

Nazajutrz więc, wszyscy czterej razem wyszli do ogrodu. Karol ode drzwi jeszcze wskazał ręką na prawo: — Ot, tam patrzajcie! — rzecze — w tej najwyższej kamienicy, na trzecim piętrze, drugie okno z lewej strony. Wszyscy spojrzeli, i w samej rzeczy spostrzegli w oknie kształt kobiety, ale zaledwo formę głowy i ramion poznać mogli.

— Chodźcie tędy — rzekł Karol — już ja tu znam wszystkie kąty, i do najbliższego miejsca was zaprowadzę.

Poszli więc aż do miejsca gdzie zwykle Karol klękał, jak to poznać można było po

wyłożonej trawie. Jakkolwiek daleko jeszcze było od wskazanego okna, jednakże postrzegli wszyscy tył głowy i część pleców obnażonych, jak gdyby nieznajoma była wygorsowana.

— Stoi tyłem do okna — rzekł Narcyz.

— Poczekajmy trochę — rzekł Jan — zapewne się obróci.

Stali więc na miejscu blisko półgodziny, ale nieznajoma nie zmieniła pozycji.

— Już ja wiem, co to znaczy, — rzekł Karol — napróżno czekacie; chce mi dać poznać że o jedenastej nie zapomniała, więc jest w oknie; ale że was postrzegła obróciła się tyłem. Żałujcie, bo twarz anielska!

— Jakże ztąd twarz dojrzysz?

— To też nie zupełnie widzę, ale biała, oczy duże, włosy czarne, gors prześliczny! Przyznam się wam że dotąd bałamucilem ją tylko; ale teraz, ten sposób delikatny dania mi poznać, że dla mnie jednego do okna przychodzi, zjednał jej moje serce.

— Nie mamy tu co dłużej robić — rzekł Narcyz — korzystajmy więc z pozwolenia i przechadzajmy się.

Na te słowa ruszyli z miejsca obserwacyi, Karol tylko został, ale w krótkce przyszedł do nich.

— Cóż, obróciła się? — zapytał Jan.

— Nie — odpowiedział smutnie Karol — nie miałem sposobu dać jej wiedzieć że sam zostałem; ten dzień już stracony.

— Nie będziemy ci więc przeszkadzać — rzekł Jan; — chodź sobie sam o jedenastą, a my w trzech będziemy później wychodzić.

Karol z uniesieniem za to przyrzeczenie podziękował, i odtąd już sam o jedenastą wychodził. Co dzień opowiadał znaczne postępy jakie robił w sercu nieznajomej. Całe obecne położenie, cała smutna, ale niestety! aż nadto prawdziwa przyszłość zniknęła mu z myśli. Dnie i nocy trawił na wynalezieniu sposobu zbliżenia się do nieznajomej i opowiedzenia jej swojej miłości. To, utrzymywało czas jakiś jego wesołość, ale po kilku tygodniach już mu to nie wystarczało.

Razu jednego gdy postrzeżono że smutniejszy jak zwykle:

— Cóż chcecie? — zawołał — ja nie przywykłem tak długo wzdychać. Żeby nie ten przeklęty Klasztor to jużbym miał czas ze dwie baby zbałamucić, a tej nawet dobrze widzieć nie mogę.

— Nie żał się na to — rzekł Narcyz — gdybyś miał perspektywę tobyś może zobaczył że brzydka!

— Ona brzydka! — zawołał z oburzeniem

Karol; — taki anioł, brzydki! O! gdybym miał perspektywę!

— Będziesz ją miał — rzekł Jan.

— Jakim sposobem?

— Już bądź spokojny, przyrzekam ci.

Karol rzucił mu się na szyję z uniesieniem:

— Wrócisz mi życie — zawołał — będę mógł przynajmniej mieć przed oczyma wyraźniejszy obraz tego anioła!

Przez cały wieczor latał po celi, śmiał się, zacierał ręce, nareszcie odchodząc rzekł do Jana: — nie zapomnijże!

— Bądź spokojny — odpowiedział Jan.

— Dziękuję ci, dziękuję — rzekł Karol; uściskał znowu Jana i wyszedł.

W tym właśnie czasie żona Jana przyjechała była i po długich prośbach otrzymała wreszcie pozwolenie widywania czasem męża. Na to Jan rachował obiecując Karolowi perspektywę, i w samej rzeczy w dni kilka później około południa perspektywa była przyniesiona. Karol już wrócił był z ogrodu; dwa razy dnia jednego wyjść było nie można; musiał więc zdobyć się na cierpliwość aż do dnia następnego. Żeby jednak nagrodzić sobie to oczekiwanie kompletnym tryumfem, zapro-

sił wszystkich aby z nim nazajutrz poszli do ogrodu.

— Pocóż pójdziemy? — rzekł Narcyz — znowu się tyłem obróci.

— Nie potrzebujemy się zbliżać — rzekł Karol, — nie postrzeże was, a dla nas z perspektywą kilkadziesiąt kroków mniej lub więcej, to wszystko jedno.

Resztę wieczora przepędził Karol w ciągłym ruchu; w karty grać nie chciał, dosiedzieć na miejscu nie mógł, parę razy nastąpił na nogę Wincentemu, który swoim zwyczajem palił spokojnie lulkę przy grających i na reszcie poszedł do siebie. Nazajutrz o szóstej z rana już Karol zastukał we drzwi swoich towarzyszków i prosił ażeby się zeszli.

— Cóż się stało? — zapytał kwaśno Wincenty — coś tak pilnego że mię obudzilesz?

— Wszak mamy iść do ogrodu — odpowiedział Karol.

— He?

— Mamy iść do ogrodu.

— Ale to dopiero szósta, jeszcze parę godzin można było zasnąć.

— Zasnąć! — zawołał zadziwiony Karol — a perspektywa!

— He? — zapytał Wincenty.

— A perspektywa! — wrzasnął Karol.

— Co mnie djabli po perspektywie — rzekł z gniewem Wincenty.

— Co za zimna dusza! — mruknął Karol, ale widząc że Jan i Narcyz śmiać się zaczęli, zamilkł, stanął w oknie, perspektywę przyłożył do oka, i co moment wołał: — wybornie! wybornie! najodleglejsze miejsca widzę jak na dłoni!

Jakkolwiek niepotrzebnie obudzeni, więźniowie nie chcieli się już rozchodzić, i to rozmawiając, to patrząc z zadziwieniem na Karola doczekali się nareszcie jedenastej.

— Chodźcie! chodźcie! — zawołał Karol i wybiegł, a towarzysze zwolna za nim poszli.

Kiedy weszli do ogrodu, Karol stał już pod drzewem, okno było otwarte i nieznajoma na swoim miejscu.

— Patrzcie! — zawołał — biedaczka już w oknie. Poczekaj duszko! — dodał — poczekaj! zaraz ci się pokażę, niech się tylko twojej anielskiej buzi przypatrzę.

To rzekłszy, przyłożył perspektywę do oka; kilka razy ją odjął, to zsunął, to rozciągnął; nareszcie popatrzył chwilę; czoło mu się zmarszczyło, usta wykrzywił, rzucił perspektywę o ziemię, mruknął: — niech djabli wezmą! — i pobiegł do Klasztoru.

— Czy taka brzydka! — zawołał Narcyz.

— Wróć się Karolu! — dodał Jan; ale Karol biegł jakby nie słyszał i zniknął za drzwiami.

— Gdzie ten waryat pobiegł? — rzekł Wincenty, podniósł perspektywę i dodał z flegmą: — niechże i ja to cudo zobaczę.

Patrzył dość długo, uśmiechał się, kiwał głową, nareszcie parsknął od śmiechu i zawołał:

— Papierowa głowa w peruce!

Wszyscy ciekawi byli przypatrzeć się aniołowi Karola i naśmiawszy się do woli wrócili aby pocieszyć zdekoncertowanego zalotnika, ale dnia tego zamknął się u siebie i nie dał się im widzieć. Nazajutrz jednak dał sobie wyperswadować ów romans i sam się śmiać zaczął ze swego omamienia.

Jakkolwiek bądź, ten affekt, lubo do papierowej głowy, przerywając przez czas długi czarną melancholią która zaczęła była trapić Karola, uleczył go z niej zupełnie; i odtąd wiele razy żartowano z jego pretensyi do sztuki uwodzenia kobiet, odpowiadał:

„Zdrów jestem“

i wszystkim usta zamykał.

— Czy to być może! — rzekła pani Urska — taka lekkość w takim położeniu?

— Nic nie ma w tem dziwnego, — przerwał pan Bayko — znał dobrze naturę ludzką pisarz co powiedział: „*chassez le naturel il revient au galop!*“

— Czy pan wiesz co się później stało z temi panami?

— Powiadano mi — odpowiedział Buński — że Karol został uwolniony, ale w krótkce obchodząc swoje gospodarstwo zbliżył się nieostrożnie do parowej młockarni która porwała go i zgniotła.

— O! mój Boże! co za śmierć! — zawołała pani Urska.

— Jan, — mówił dalej Buński — powrócił także do domu, i w lat kilka umarł. Wincenty potępiony wyrokiem, gdzieś był wysłany, ale w drodze zachorował i rozstał się z tym światem. A Narzycz, odesłany do innego jakiegoś sądu, znalazł sposobność wymknięcia się i niewiem co się później z nim stało.

— Pomimo pańskie uprzedzenie widzisz pan jednak — rzekła pani Urska — że nas pańska powiastka zainteresowała; ale byliśmy przygotowani na dłuższe czytanie — dodała, zwracając się do Szambelana...

Na te słowa Szambelan uśmiechnął się i dobył z zanadru pakiecik.

— A to co? — zapytała ucieszona pani Urska.

— Czyż to pani myślałaś — odpowiedział Szambelan, — że przyszło mi spokojnie obietnicy uchybić i zmartwić panią!

— Kochany Szambelan! — zawołała pani Urska, — wzór dobroci i grzeczności.

— Nie pani, tylko grzesznik żałujący swej winy.

— Cóż to takiego?

— W czasie ostatniego mojego pobytu w Warszawie bywałem często w domu państwa Z... Od niejakiego czasu prezentowany tam był niejakiś pan N... i tak mu się towarzystwo podobało, że co wieczór prawie przychodził. Był to człowiek nie młody, dobrze wychowany, i tak miłego obęjścia, że bardzo go polubiliśmy wszyscy i radzi byliśmy jak najczęściej go widywać. Zdziwiła nas tylko melancholiczna twarz jego, zdradzająca przebyte ciężkie cierpienia.

— Państwo Z... żyli skromnie i nie wiele przyjmowali, to też towarzystwo ich wieczorne składało się prawie zawsze z tych samych osób. Łatwo pani wystawisz sobie, że w takim składzie rzeczy nie podobna było ograniczyć

się samą rozmową, która lubo podsycana przez nowinki jakie każdy z miasta przynosił, byłaby się prędko wyczerpała. Szukano więc rozmaitych zabaw. W epoce, o której mówię, była moda powieści napisanych, z warunkiem umieszczenia w nich kilku słów z jakiej książki losem wyciągniętych. Wszyscy polubiliśmy ten rodzaj zabawy i każdy z nas przynosił nazajutrz, co na podane mu wczoraj słowa napisał; a że jedyny warunek był, umieszczenie słów tak trafnie aby to nie miało miny naciągniętej, a z resztą wybór przedmiotu i forma pisma zupełnie zależała od piszącego, przeto różnaitość była wielka i zabawa zdawała się zawsze nową. Jak przyszła kolej na pana N... wszyscy prawie znajomi zeszli się, bo radzi byli zobaczyć czy też pan N... który był wszystkim się podobał, utrzyma i w tem swoją reputacją i napisze coś godnego uwagi.

— Co się mnie tycze — dodał Szambelan — pisemka pana N... tak mi się podobały żem parę ich przepisał i te z sobą przywożę. To łatwo mi przyszło, bo zapomniałem powiedzieć, że każdy napisaną dykteryjkę zosławiał u pani Z... Mogłem więc, jako prawie domowy, przepisywać spokojnie. Pierwsze słowa dane panu N... były:

Rozum, — Nic, — Wino, — Pro-
mien, — Wypadek.

— Jakeśmy zasiedli pan N... tak zaczął.

„Artykuł który mam przeczytać nie odpowiada może celowi jakiśmy sobie założyli; ale chciałem zrobić jakąś całość, napisać coś innego niż to co się zwykle na podane słowa pisze; słowem, chciałem zostawić po sobie pamiątkę. Bóg wie kiedy i jakim sposobem przeznaczenie nas rozproszy. To opowiadanie przypomni wam może kiedy człowieka który umiał was ocenić i który w pośród małej liczby chwil szczęśliwych których mu los niepozazdrościł, uważać będzie za jedną z świetniejszych tę, w której będzie mógł sobie powiedzieć myśląc o was: „Pamiętają że mię znali.“ Niepotrzebuję tłumaczyć o kim jest mowa w tem piśmku, co w niem jest fikcją, gdzie pozwoliłem sobie rzucić okiem na przyszłość. Łatwo potraficie odgadnąć osobę, ocenić fakta, rozpoznać wspomnienia i zrobić wydział prorocztwu!

O jedenastej wieczorem (mniejsza o rok i dzień) liczne towarzystwo zebrane było w jednym z najpiękniejszych salonów przedmieścia St. Germain w Paryżu. Był to początek jednego z tych wieczorów, które są

tylko tryumfem krawców i modniarek, na które zbiega się cizba dla tego raczej żeby się pokazać niż widzieć, na których rozum stara się pod rozmaitemi kształtami przedstawiać; gdzie jedno nic decyduje o reputacji a często na całe życie wpływ swój wywiera; gdzie дума nakoniec znajdzie zawsze przyjemność, ale gdzie serce rzadko spotka się z miłym wrażeniem.

Towarzystwo nie bardzo jeszcze liczne podzielone było na grupy; jedne ożywione przez dowcipne rozmowy, drugie zajęte poważnemi dyskusjami, inne nakoniec w których czasami tylko słychać było oderwane słowa wymawiane dla zwyciężenia uprzykrzającej się chęci poziewania. Głosy mieszały się w przestrzeni i robiły hałas w którym żadnego słowa wyraźnie usłyszeć nie można było. Hałas ten, to wznosił się i głużył, to znowu zniżał się stopniowo i aż do cichości dochodził.

W jednej z tych chwil uspokojenia dał się słyszeć głos kobiecy.

— O! panie X... opowiedz nam tę anegdotkę.

Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, hałas ustał, i można było słyszeć następującą rozmowę:

— Chętniebym dopełnił rozkazu pani —

odpowiedział pan X... — ale bardzo wątpię ażeby ta anegdota tyle zrobiła przyjemności jak się pani spodziewasz.

— O! robi! robi! — zawołała przymilając się inna dama której twarz zdradzała lat pięćdziesiąt, pomimo grubej powłoki gipsu i różu. — Ja tak lubię historye! a osobiwie straszne, o rozbójnikach, o upiorach! One mię tak poruszają — dodała spoglądając czule na młodego człowieka obok niej siedzącego.

— Nieszczęściem — odpowiedział pan X.. — ani zbójców ani upiorów nie spotkałem.

— Pan X... przyjeżdża ze Szawajcaryi — ktoś się odezwał — to zapewne będzie tylko piękną naturę opisywać.

— Tem lepiej, tem lepiej, — przerwał jakiś sentymentalny elegancik, skrupulatnie podług Dziennika Mód, ustrojony, poprawiając zaboty: — natura! natura! to tak zajmuje, tak

— Prawda, — przerwał pan X... — ale wieleż to razy najpiękniejsze jej dzieło staje się przyczyną bolesnych uwag, nasuwa myśli nie miłe, albo przykre uczucie litości obudza!

— Oh! pewna jestem, — zawołała jakaś młoda kobieta — pańska historia będzie bardzo smutna: nieprawdaż?

— Osądzisz pani sama — odpowiedział pan X***. Wszyscy umilkli a pan X*** tak zaczął:

— Paryż mię był umęczył, uczulem potrzebę samotności, wyjechałem więc do Szwajcaryi. Błąkałem się tam dosyć długo; nareszcie jednego wieczora przybyłem na dolinę... Grzmot dawał się słyszeć z daleka, niebo okryło się chmurami, zaczęło być groźne; błyskawice ciemno-czerwone krajały chmurę na wszystkie strony i przejmowały mimowolną trwogą. Zatopiony w myślach nic tego nie postrzegałem aż do chwili w której gwałtownie schronienia szukać było potrzeba. Poszedłem więc ku nędznej chatce która była najbliżej; przed chatką kilku ludzi siedziało około stołu; przed niemi stał ogromny dzban wina, z którego co moment czerpali żwawo rozmawiając; pomimowolnie nadstawiłem ucho. Mowa była o jakimś cudzoziemcu, który mieszkał w końcu doliny; kilka szczegółów które usłyszałem, podnieciły moją ciekawość, zbliżyłem się przeto i wniósłem do rozmowy; ale zaledwo mogłem dowiedzieć się o kilku szczegółach i usłyszeć kilka anegdot wyraźnie zmyślonych, które zamiast zaspokojenia mojej ciekawości, więcej ją jeszcze

pobudziły. Postanowiłem więc odwiedzić tego cudzoziemca.

— To nie łatwo — odpowiedział jeden z pijących — on zawsze zamknięty i nie widuje nikogo.

— Ale gdzież mieszka? — zapytałem.

— Ot tam! — odpowiedział ten sam człowiek, wskazując mi ręką mały pobielony domek, który oświetlony w tej chwili przez promień zachodzącego słońca, odbijał się na ciemnej zieloności góry i przedstawiał prawdziwie malowniczy widok.

— Czy chcesz mi przewodniczyć? — zapytałem mego interlokutora.

— To napróżno! — odpowiedział brutalnie, — nie przyjmie cię; a z resztą jestem tu zatrudniony, — dodał nalewając sobie wina.

Obrażony grubijańską odpowiedzią, odwróciłem się i sam poszedłem w stronę z której białł mały domek. Im więcej się zbliżałem tem mój zamiar zdawał się trudniejszym do wykonania, i próżno szukałem pretextu wejścia do domu w którym nikogo przyjmować nie chciano, kiedy burza zrywając się gwałtownie nastęrczyła mi go przecie. Zastukałem do drzwi, które się w tym momencie otworzyły. Człowiek miernego wzrostu pokazał się w nich, poprosił ażebyśmy wszedł; starannie

drzwi za mną zamknął, jakby bojąc się drugiego natręta, i wprowadził mnie do małego saloniku oświetlonego płomieniem komina.

Zadziwiony tą łatwością wejścia do domu, który, podług tego co mi pawiadano, nie otwierał się zwykle dla gości, zwróciłem oczy na mojego gospodarza.

Był to człowiek lat ze czterdzieści mający, ale włosy jego już były całkiem zbiele a twarz okryta marszczkami; spojrzenie nieruchome i ponure. Czoło pomarszczone nosiło cechę tych niezatartych śladów, które zostawiają po sobie długie cierpienia i gorzkie zawody. Widać było że w nim dusza zużyła ciało. Postarzały przed czasem zdawał się być oswojonym z gorzkimi myślami, jednakże w posępnej jego powierzchowności nie było nic odpychającego, nic surowego. Zdawało się że strata omamień nie tylko nie zostawiła w jego duszy wrażeń cierpkich i nienawistnych, ale przeciwnie nadała mu tylko jakąś bolesną rezygnacyą; słowem, widać było na jego twarzy jeden z tych wypadków, często udawanych, ale bardzo rzadko prawdziwych, kiedy nadzieja opuści serce i staje się tylko wspomnieniem. Z resztą powierzchowność i obejście jego dowodziły, że kiedyś znał świat i dobre towarzystwo.

Ośmielony tem przyjęciem starałem się wejść z nim w rozmowę. Chętnie mówił dopóki rozmowa toczyła się o rzeczach ogólnych, ale każdy zwrot do osobistego jego położenia zostawał bez odpowiedzi.

Nareszcie po godzinnej rozmowie, którą mój gospodarz utrzymywał jedynie przez grzeczność, postrzegłszy że już burza przeszła, uczulem, że powinien odejść. Oświadczyłem mu przeto moją wdzięczność i postrzegłem na to słowo, tak często bez znaczenia, jakąś zmianę w jego fizjonomji. Usta mimowolnie się ścisnęły, uformowały coś nakształt gorzkiego uśmiechu i nadały jego tarzcy uderzający wyraz ironji, pogardy i powątpiewania.

— Powiedziano mi — dodałem — że nie będę mógł znaleźć w tym domu schronienia, i wyznaję że mię miłe przyjęcie zdziwiło.

Znowu się uśmiechnął, ale w momencie twarz jego wróciła do zwykłej sobie powagi.

— Deszcz był ulewny, — odpowiedział.

Te słów kilka dowodząc mi, że uległ tylko chwilowo chęci oddania przysługi, odjęły mi nadzieję powrotu. Nieśmiało przeto poprosiłem, ażeby mi pozwolił raz jeszcze siebie odwiedzić.

Słonił się, ale nic nie odpowiedział; nie dał mi poznać najmniejszym ruchem że przyjmuje moją propozycją. Widocznie, przyzwyczajenie tylko do form towarzyskich przeszkodziło mu, wyraźnie żądanie moje odmówić.

W każdych innych okolicznościach byłbym zamiaru mego odstąpił; ale teraz ciekawość moja była mocno obudzona, kilka frazesów naszej rozmowy dały mi odgadnąć niepolite wypadki w życiu tego człowieka; postanowiłem więc próbować szczęścia i uważać zimny ukłon mego gospodarza, za pozwolenie powrócenia.

W samej rzeczy powróciłem, i nie raz; nie będę się rozwodził nad sposobami jakich używałem żeby dojść do tego celu. Dosyć jest wiedzieć, że mi się udało zwyciężyć niechęć mego gospodarza, rzucić okiem na jego przeszłość, i że tak powiem, czytać w jego wspomnieniach.

— Jeżeli panie każecie, będę je opowiadał tak jak je sam słyszałem, urywkami i z okolicznościami które opowiadaniom towarzyszyły; ale ostrzegam, że to będzie długie i że kilka posłuchań będę potrzebował.

— Tem lepiej, tem lepiej — zawołała ciżba łaknąca nowości.

— I my to samo powiadamy — zawołała

pani Z*** — musisz nam pan jutro dalszy ciąg przynieść.

— Jak wola — odpowiedział pan N***.

— Lecz uważaliśmy — dodał Szambelan — że twarz jego bardzo zesmutniała, jak gdyby własne opowiadał wspomnienia.

Po chwili milczenia Szambelan rzekł znowu.

— Nie chcąc mu dać poznać naszych domysłów, które z resztą mogły być i fałszywe, pani Z*** chciała zachować cechę znanej zabawy wieczornej i wzięwszy jakąś książkę, otworzyła ją pięć razy i przeczytała słowo na którym się jej palec zatrzymał. Słowa te były:

Skarb, — Piękność, — Łzy, —

Rozkaz, — Koń.

Nazajutrz pan N*** wierny swemu przyrzeczeniu przyszedł w wieczór; — postrześliśmy że był bladziej niż zwykle, ale nikt z nas tej uwagi głośno nie zrobił. Po chwili nic nieznaczącej rozmowy, oświadczywszy na zapytanie pani Z*** że przyniósł obiecany ciąg wczorajszego opowiadania, zaczął czytać:

— Często więc powracałem do mego samotnego gospodarza. Odwiedziny moje im więcej się pomnażały, tem się stawały dłuższe, rozmowy nasze były coraz więcej przyjacielskie, coraz otwarsze, ale nie dochodziły nigdy

do tej poufności któraby mi obiecywała dojście do mojego celu. Nareszcie, dnia jednego otrzymałem opowiadanie które stało się początkiem innych powieści.

Przybyłem do niego ze wschodem słońca; — siedział przed domem; — obok niego leżała na stole otwarta książka ale nie czytał; — głęboko był zamyślony, głowę miał opartą na rękę, oczy spuszczone w ziemię; zdawało się że ta książka przywiodła mu na myśl jakieś wspomnienie, które tak go zajęło, że mnie nawet nie postrzegł. Jednakże kiedy się zbliżył, zwyciężył swoje poruszenie, podał mi rękę i zaczęliśmy rozmawiać.

Pomimo widoczne usiłowania, mój gospodarz zdawał się zenowany. Myśl jego była gdzie indziej i nie mógł jej nakłonić do mało interesującego przedmiotu rozmowy naszej.

Czułem że jestem natrętnym i że przyzwyczajenie kazała mi uwolnić go od mojej niewczesnej wizyty; ale jakby przecuciem jakim tknięty nie chciałem odejść. Nie wiedząc jak zmienić rozmowę, wzięłem książkę leżącą na stole w nadziei znalezienia w niej jakiego przedmiotu do dyskusji. Epigraff wpadł mi naprzód w oczy. Była to maxyma z jakiegoś nieznanego Autora wyjęta:

„Spokojność serca jest najdroższym skarbem. Jeżeli chcesz go zachować, unikaj wiadoku piękności we łzach, a jeżeli ją przydadkiem spotkasz, spiesz się dać rozkaz, żeby ci okulbaczono najlepszego konia i czwałem uciekaj.“

— Osobliwsza maxyma! zawołałem wskazując palcem Epigraff.

— Prawdziwszą jest — opowiedział — niż ci się zdaje, niż może zdawała się temu co ją napisał. O! — dodał — kto mógł poznać siłę łez, kto doświadczył ich niezwalzonego wpływu, ich czarownego widoku, nie będzie śmiał mi zaprzeczyć.

— Można by wnosić z tego co mówisz, rzekłem, że sam tego wpływu doświadczyłeś i że dotąd masz go w pamięci.

— Czy doświadczyłem! W wieku w którym cała przyszłość była jeszcze przede mną; kiedy mogłem, dzięki związkom i dostatkom mojej familji, na którą kolwiek zwrócić się stronę, obrać karierę jakaby mi się podobała, dojść do wszystkiego! Jedna łza! cały bieg życia mego zmieniła, skłoniła mnie do wyrzeczenia się wszystkich pożytków szczęśliwego towarzyskiego położenia, i dotąd jej wspomnienie, drugą do oczów moich sprowadza! —

Nie śmiałem w tym momencie o nic pytać, ale mógł łatwo poznać że oczekiwałem wytłomaczenia słów jego. Może też wreszcie sam zastanowił się, że tyle powiedziawszy należało powiedzieć i więcej, bo po chwili milczenia dodał:

— Ze wszystkich marzycieli najdowcipniejszy był ten nie wątpliwie, co utrzymywał że natura zawsze wysyła na raz duszę podzieloną na dwie połowy, z których każda wchodzi w inne ciało płci przeciwnych. Jeżeli te połowy mają szczęście spotkać się na ziemi, żadne względy, żadne przeszkody niewzbrońnią im pokochać się wzajemnie i starać się połączyć. I to musi być prawdą, rzekł dalej, jak bowiem wytłomaczyć inaczej te nieprzewzięzione sympaty, tę siłę wzroku na którą serce drży mimowolnie; jak pojąć to głębokie uczucie które z dwóch istot robi jedną tylko, tak że żyjemy życiem ukochanej osoby, przejmujemy jej cnoty, uwielbiamy jej błędy, cierpiemy jej boleścią; to uczucie, którego nie można opisać, bo jest nad pojęcie ludzkie jak Bóg i wieczność, bo jest tajemnicą, sekretem Przedwiecznego!

Po tych słowach umilkł, jakby chcąc uspokoić gwałtowne poruszenia serca; nareszcie rzekł spokojniej:

— Miałem lat ośmnaście; wesoly, niedbający o nic jak zwykle w tym wieku, żyłem ode dnia do dnia, przelatując z zabawy na zabawę, nie zastanawiając się ani nad przeszłością nadto jeszcze krótką ażeby zająć mogła moją uwagę, ani nad przyszłością nadto zdawało się długą, ażeby o niej myśleć było potrzeba. Byłem, co nazywają, szczęśliwym!

Raz wszedłem do mojej siostry i zastałem u niej jakąś nieznaną kobietę. Chciałem się cofnąć, ale zwróciła na mnie wielkie czarne oczy w których całą przyszłość zobaczyłem. Dawna moja effronterya znikła, jakaś nieśmiałość ogarnęła serce; chciałem przemówić, ale słowa zatrzymały się na ustach; jednakże postrzegłem na jej twarzy nagły rumieniec i zgadłem że zrobiłem na niej wrażenie; bo jakieś wewnętrzne przeczucie mówi nam, kiedy mamy szczęście obudzić czułość, i nigdy nas nie zawodzi. —

Cóż mam więcej powiedzieć? Wkrótce troski, zmartwienia, szczęście! — wszystko co serce doświadczać może stało się między nami wspólne; — ona żywa, wesola, prawdziwe dziecko południa, — ja syn północy! spokojny, poważny ale przywiązany głęboko. Z tej sprzeczności charakterów potrafiliśmy

utworzyć element szczęścia, — zapomnieliśmy o wszystkim, nawet o niepodobieństwie uprawnienia związku! — Ona była zamężna! — Tę duszę ognistą, to gorące serce połączono, w dzieciństwie prawie, z zimną duszą spekulatora. Nie mogąc się rozumieć, żyli rozłączeni, ale ich związek nie był prawnie rozwiązany; interes męża nie pozwalał nat o.

Ale co nas to obchodzić miało! Żyliśmy w terażniejszości, której każda minuta przynosiła nam masę szczęścia wystarczającą na zapełnienie najdłuższej przyszłości.

Nieszczęściem, to położenie moje nie wszystkim się podobało. Ojciec mój przedsięwziął zerwać ten związek. Ale cóż mogły usiłowania człowieka, przeciwko uczuciu które stało się życiem! —

Mój ojciec był jednym z tych ludzi, których dla szczęścia ludzkości więcej byćby powinno. Pod powierzchownością zimną i spokojną, ukrywał duszę szlachetną i czułą. Doświadczenie nie tylko nie zrobiło go wymagającym, ale przeciwnie nadało mu pobłażanie słabościom których kiedyś sam doświadczał. Nie pochwalał naszego związku, bo ten zaciemniał świetną przyszłość której się mogłem spodziewać; ale nie miał niechęci do kobiety, na której widział że całe szczęście syna jego

spoczywa; nie chciał wreszcie gwałtownem postępowaniem serca mojego rozdzierać. Został więc czasowi wykonanie swoich zamiarów.

Siedm lat szczęścia przeleciały lotem błyskawicy. Sądono że ten przeciąg czasu osłabi gwałtowność uczucia i da wreszcie przystęp uwadze; nie zdawało się podobnem, ażeby czas, który wszystko niszczy, umocnił jeszcze to oczarowanie w którym żyłem, i nie poradziwszy się mnie, nie zgłębiwszy stanu serca mojego, starano się dla mnie o rękę bogatej dziedziczki, i o miejsce dosyć wysokie na Dworze cesarskim. Otrzymano jedno i drugie, ale z koniecznym warunkiem jechania zaraz do stolicy i zajęcia mojej służby.

Tak więc w dwudziestym piątym roku życia otworzył się przedemną świetny zawód, zaszczyty i bogactwa; mogłem spełnić życzenie Ojca któremu kochał nad życie, zadosyć uczynić wszystkiemu co pochlebia miłości własnej, co, podług ludzi, prawdziwie szczęście stanowił! —

A jednak! wszystko odmówiłem! Z równą łatwością byłbym był i berło świata odmówił. Lecz jakże nie miałem tego uczynić? Na myśl rozłączenia, łza boleści w oku Zofji zabłyszczała!... —

— Mój gospodarz umilkł; patrzałem na

niego, ale nie miałem odwagi zapytać: co się stało z tym związkiem, i z tą Zofją dla której sarce jego pierwszy raz bić zaczęło, dla której tyle poświęcił!

Zrozumiał mnie i rzekł:

— Chcesz wiedzieć co się z nią stało? .. Tam jest — dodał, wskazując na niebo!

— I wszedł do domu! Nie śmiałem pójść za nim! —

— Jak pan N*** skończył — rzekł Szambelan — wzniesiliśmy mimowolnie oczy, jakbyśmy mieli Zofję zobaczyć. Jakiś smutek nas ogarnął, grobowa cichość nastała, nikt z nas słowa przemówić nie śmiał żeby nie przerwać zadumania w którym pan N*** się pograżył. Po chwili on sam przerwał milczenie, uśmiechnął się melancholicznie i rzekł:

— Dotąd, wiele razy przypominam sobie tę historią, doświadczam tego samego wzruszenia, któremu doświadczył pierwszy raz ją słysząc.

— Pojmuję to — rzekła pani Z*** — kiedy nas tak poruszyła, cóż musiał doświadczyć ten, co słyszał opowiadanie samego bohatera!

Pan N*** pobladł, ale prędko przyszedł do siebie i odpowiedział:

— Zapewne! zapewne!

— Ale nie na tem — zapytała pani Z***
— skończyły cię opowiadania w tym paryżkim salonie?

— Opowiedania te były liczne, i długo trwały.

— I pan je wszystkie słyszałeś?

— Wszystkie — odpowiedział pan N*** ze smutnym uśmiechem.

— Więc możemy się spodziewać? — do dała pani Z*** biorąc książkę z której zwykle braliśmy słowa do powiastek.

Pan N*** skłonił się milcząc, a pani Z*** wzięwszy to za znak przyzwolenia porwała książkę i wyciągnęła słowa:

Szczęście, — Rodzina, — Żagiel,

— Obudzenie, — Nuda. —

Nazajutrz jakeśmy się zeszli, pani Z*** rzekła:

— Biedny N*** nic nie napisał; żeby jednak nie bardzo nas zawieść, przysłał exkuzę którą przeczytam.

To mówiąc, wzięła list na stole leżący. List ten następującej był treści:

„Pani!

„Czuję że powinienem do pani napisać. Pani przewodniczysz naszemu zgromadzeniu a ja nic na dzisiaj nie zrobiłem. Powinienem się więc wytłómaczyć, lubo uczucie winy jest

tak we mnie silne że sam nie wiem jak opowiedzieć przyczyny które może nie wydadzą się dosyć ważne. Chciałem się był nawet schować do jakiej kryjówki, ażeby nie być łajdanym, ale szczęściem przyszła mi na myśl wyczerpana dobroć pani i nabrałem cokolwiek odwagi. O to są przyczyny dla których nie nienapisalem.

„Wczoraj dałaś mi pani słowa:

Szczęście, — Rodzina, — Żagiel,

— Obudzenie, — Nuda —

„Powinienem był zaraz siąść do pracy, ale nieszczęściem chciałem zastanowić się wprzód nad temi słowami i wydały mi się tak łatwemi do umieszczenia, że powiedziałem sobie nieroztropnie: „napiszę później.“

„Szczęście da mi mnóstwo wyobrażeń. Cóż nie można powiedzieć o istocie fantastycznej (bo nikt nie wie na czem zależy), a jednakże prawdziwej (bo ktoś jej choć raz w życiu nie spotkał); — Był czas w którym i ja sam byłem szczęśliwym; przyjdą mi może na myśl jakie o nim wspomnienia, chociaż ten czas daleko! bardzo daleko ode mnie. Parodzę się moich nadziei; może mi jaki obraz do przekopijowania przedstawią; spojrzę około siebie, zapytam się pamięci. Będę więc miał do pomocy: wspomnienia,

pamięć serca i głowy, imaginacją, nadzieję, w potrzebie wreszcie sofizma, i powiem coś przecie o szczęściu!

„Rodzina! Wszak miałem rodzinę, — czyliż już zapomniałem? czyliż mogę kiedykolwiek zapomnieć cokolwiek dotyczącego rodzinę? O! wieleż wspomnień miłych i rozczulających! gorzkich i okropnych znajdę w mojem sercu. — Nie lękam się! nie zabraknie mi wyobrażeń ażeby o rodzinie mówić.

„Żagiel także nie wydał mi się trudnym; on może, oddalając się, unosić z sobą szczęście i nadzieję; widok jego, kiedy się pokaże na horyzoncie, może nappełnić serce radością i powątpiewaniem; — on może przynieść pociechę lub smutek; szczęście albo rozpacz. Wieleż mieć mogę ustępów: o niestałości i wieczności, o ciszy i burzach! co porównań, ileż faktów do zacytowania! Trzebaby bardzo być niezręcznym, pomyślałem sobie, żeby nie znaleźć nic do powiedzenia o Żaglu.

„Obudzenie; cóż łatwiejszego! któż się nie budzi? — to wesół, to smutny; to lekki i przeczuwający dzień pomyślny, to ciężki i opieszaly w powrocie do życia! — I to codziennie, czasem częściej, dopóty dopóki raz na koniec nie obudzi się zupełnie chyba w górze.

Do tego przyjdą jeszcze wrażenia towarzyszące obudzeniu, tłumaczenie ich, stopień wiary jaki się do nich przywiązuje, skutki z nich wynikające, i t. d. Nie ma nic straszniejszego w słowie Obudzenie!

„Nuda! Któż ją znać może lepiej jak człowiek, którego illuzye zniszczone, życie otrętwiałe, dnie bez jutra! Jak człowiek, którego szczęście jest tylko wspomnieniem; nadzieja próżnym wyrazem! Ten rozdział będzie najdłuższy; mam co powiedzieć o nudzie.

„Po tych uwagach powiedziałem sobie: dosyć będzie jutro zasiąść do roboty, — i spać się położyłem.

„Ale sen mój był jakiś gorączkowy. Śniło mi się moje szczęście niestety! na zawsze zginione! Rodzina! której może już nigdy nie zobaczę! Żagiel! który już zniknął w przestrzeni unosząc moje nadzieje! Obudzenie moje było smutne! — na próżno chciałem pracować. — Nuda mię ogarnęła; a nadomiar nieszczęścia, kucharka moja dostała róży i musiałem objadłem sam się zatrudnić. Był to epizod nie poetyczny ale nieszczęściem konieczny dla tej nadętej istoty, która się sądzi na podobieństwo Boga utworzoną! Słowem, nic nie napisałem.

„Składałem u nóg pani mój żal i wymówki.

Chciej pani osłonić mię swoją protekcją, a za to przyrzekam na przyszły tydzień zobowiązania dopełnić.“ —

— Wiem, — dodał Szambelan — że długo jeszcze na wieczorach pani Z*** czytywał, i nie raz, bardzo interesujące wypadki; ale już świadkiem tego nie byłem, bo po tym trzecim wieczorze opuściłem Warszawę.

— Ale — przerwała pani Urska — jeżeli te pisma zostawały u pani Z*** to może możnaby je dostać przynajmniej w kopji.

— Najłatwiej, — odpowiedział Szambelan; — obowiązuję się sprowadzić je w krótkce.

— Pamiętaj pan że ogromne zaciągnąłeś długi; bo terazniejsza obietnica nie uwalnia wcale od pierwszej.

— Ze wszystkiego się wyplacę — odpowiedział Szambelan.

I składał pismo aby go schować, kiedy wyleciał arkusz we czworo złożony i padł na ziemię.

— A to co? — zawołała pani Urska, — wszak i to do nas należy.

— Przypadkiem — rzekł Szambelan, — pomiędzy kopije które chciałem przeczytać wsunął się ten papier. Jest to także pi-semko podobnego rodzaju, czytane na zajutrz

po liscie pana N*** ale już późno, lepiej dać mu pokój. —

— Wcale nie! Ponieważ to przypadek, więc nie będziemy dziękować, ale chcemy korzystać z niego.

— Niech więc pani pamięta, że cała odpowiedzialność za znudzenie na pani ciężać będzie.

— Biorę odpowiedzialność na siebie.

— Niech i tak będzie — odpowiedział Szambelan. — Słowa były następujące:

Pogoda, — Szczęście, — Zieleność, — Warkocz, — Zagroda.

— Pan S*** który pisał tę dykteryjkę ozdobił ją epigraffem. —

To rzekłszy Szambelan zaczął czytać:

Le souvenir, présent céleste,
Ombre des Biens que l'on n'a plus,
Est encore un bien qui reste
Après tous ceux qu'on a perdu.

Tak powiada nie wiem za co jakiś poeta, a Segur także nie wiem za co przybrał te wiersze za Epigraff swoich pamiętników.

Któż nie wie jak często wspomnienia, nie darem nieba, ale są raczej wymysłem szatana, męką duszy, i jakby przygotowaniem jej do piekła!

Wiecie, że pomiędzy rozmaitego rodzaju

wplywami, które wspomnienia mogą na człowieka wywierać, jest pewne usposobienie duszy, że tak powiem mistyczne. Kiedy, ani uwagi, ani kombinacye, ani filozofja nie mogą pocieszyć stroskanego serca; dusza dręczona ziemskimi boleściami, zdaje się chcieć objawić nieśmiertelność swoją, i nasuwa myśl innej przyszłości, innego porządku rzeczy. Lecz obarczona ciężarem zmysłów, zamiast czystego widzenia, radzi tylko skłonność do przesądów.

W ten czas, sny, kabały, przeczucia, stają się prawie aktami wiary, a że czasem mogą i pocieszyć, stają się jeszcze instynktową, że tak powiem, potrzebą.

Nie dawno, w takim byłem położeniu. Smutne wspomnienia cisnęły się do głowy; na nowo, czuć zacząłem dawne boleści; ubiegłe chwile szczęścia dla tego tylko zdawały się przychodzić na pamięć, aby przez porównanie z obecnym stanem zwiększać gorycz serca. Wnioski rozsądne, sąszenie o rzeczach przez prawdopodobieństwo, nie lepszego nie wskazywały na przyszłość, zapragnąłem więc z innego punktu rzucić na nią okiem i pobiegłem do wróżki.

Wprowadzono mię do pokoju prawie ciemnego. Pozamykane żaluzye, zasłonięte firanki

nigdy tam niedopuszczały promieni słońca. W innym stanie duszy byłbym z rozkoszą używał przyjemnego chłodu; ale w ten czas, uczulem jakby grobowe jakieś zimno. Powierzchnia ciała nagle oziębiona przeniosła ciepło do mózgu i umysł mój doznał jakiejś bolesnej exaltacyi; sądzę że taki stan musi poprzedzać pomieszanie zmysłów!

Rzuciłem się na kanapę; znowu przeszłość stanęła mi w oczach, smutek, przywalił mię całym swoim ciężarem; słowem, znalazłem się w tej najboleśniejszej może chwili, która zupełną stratę nadziei od rezygnacyi przedziela.

W tem, drzwi się otworzyły, zadrżałem mimowolnie i zobaczyłem stojącą we drzwiach, dziwacznie ubraną, podeszłą kobietę. Patrzała na mnie w milczeniu; zdało mi się że oczy jej błyszczą nie naturalnem światłem; oddech mi się zatrzymał, serce gwałtownie bić zaczęło: jakaś tęsknota, ledwo nie powiem bojaźń opanowała duszę; byłbym może omdlał gdybym był nie postrzegł że Wróżka dała znak aby iść za nią.

Ta odmiana położenia zwracając moją uwagę przywróciła mię trochę do przytomności, machinalnie jednak i jakby ulegając nadludzkiej jakiej sile, bez wpływu własnej woli, wstałem i poszedłem za Wróżką.

Drzwi się zamknęły; odgłos ich odbił się w głębi serca, zdało mi się żem przeszedł do innego świata.

Znalazłem się w małym posępnym gabinecie, ściany pomalowane brunatnym kolorem na którym odbijały się gdzieś jaskrawe płomyki. Na szlakach pasowych dziwaczne wykrzywające się figury; podłoga przykryta ciemnem lakierowanym płótnem na którem zdawały się czołgać różno-kolorowe węże i innych rodzajów gady, nadawały temu miejscu przerażające podobieństwo do jednej z otchłań piekielnych. Na przeciw drzwi, wznosił się ogromny komin, na nim, zamiast zegara, stał szkielet z ognistemi ruchomemi oczami; w jednym ręku trzymał kosę, w drugim klepsydrę. Duże czarne lustro nad kominem zawieszone, kończyło ubranie tej ściany.

Wróżka przywdziała płaszcz czarny upstrzony czerwonymi figurkami, włożyła na głowę spiczasty kołpak, i tak przygotowana, posunęła mi taboret obity dywanem okrytym hieroglifami. Sama zasiadła na ogromnem staroświeckiem krześle kształtu konfesyjonału, przybliżyła stół czarnem suknem przykryty, i znowu milcząc wlepiła we mnie oczy.

Tą razą, jej spojrzenie wywierało na mnie

jakiś bolesny wpływ magnetyczny. Włosy mi powstały, pot w dużych kroplach zaczął się zbierać na czole, serce nieregularnie drgało tłumiąc wolność oddechu, a za każdym poruszeniem oczów Sybilli, czułem jakieś rozdzieranie wewnętrzne w tymże samym kierunku, jakby mię spojrzeniem swoim rozkrawywała na części. Nie wiem jak długo byłbym był w stanie znieść to położenie. Szczęściem, po chwili Wróżka zaczęła coś mruczeć, potem wzięła moją lewą rękę, ogłądała ją długo, czasem swoją przykładając ją do czoła, to do serca; nakoniec porwała księgę na stole leżącą i rzekła grobowym głosem:

— Oto jest księga twego przeznaczenia! Otwórz ją pięć razy, za każdym razem niepatrzając dotknij palcem stronnicy; zapiszę słowa na które trafisz; potem, dowiesz się przyśłości twojej!

Wziąłem więc księgę i otworzyłem ją pięć razy; za każdym razem niepatrzając dotknąłem palcem stronnicy; Wróżka zapisywała słowa, które w takim wyszły porządku:

Pogoda, — Szczęście, — Zieleność, — Warkocz, — Zagroda.

Potem wzięła drugą książkę; był to jakby słownik; wyszukała w niej wyżej wspomniane

słowa, wynotowała numera odpowiadające im w słowniku, dobrała temiz numerami oznaczone, dziwacznie pomalowane karty, ułożyła je na krzyż, i po chwili namysłu, tak mówić zaczęła:

— Miałeś w życiu twojem wiele dni pogodnych, lecz ta Pogoda minęła. Czasem jeszcze promyk nadziei rozjaśni na chwilę twój horyzont, ale to będzie tylko przelot błyskawicy. Nie wierz w Szczęście, opuściło cię na zawsze.

Pięćdziesiąt razy widziałeś Zieloność okrywającą ziemię po otrętwieniu zimowem, jeszcze ją nie raz zobaczysz, lecz już ona nie będzie dla ciebie, jak dawniej, kolorem nadziei!

Pomniesz, jak piękna ręka dała ci uciętą Warkocz, bo smutek rozdzielenia się z tobą oddalił z myśli wrodzoną chęć zachowania piękności. Strzeż go starannie, był to dar ostatni, ostatnia szczęścia pamiątka!

Byłeś obsypyany darami fortuny, teraz, najmniejsza własna Zagroda byłaby ulepszeniem twego losu. Tę, może jeszcze mieć będziesz, lecz wyrzecz się wszelkiej rozkoszy serca. Żyj jeżeli możesz w przeszłości, bo przyszłość twoja, okryta kirem żalobnym, samą boleść zapowiada!

— Długoż jeszcze żyć muszę? — zawołałem przerażony.

Wróżka zmięszała karty, wzięła małe czarne lusterko na stole leżące, kazała mi chuchnąć na niego, i wpatrzyła się w mgłę przez oddech na szkle uformowaną. Mgła raptownie się zmniejszała, i w krótcie znikła zupełnie.

— Tak znika szczęście i życie — zamruzała Wróżka i potem rzekła głośniejsz:

— Czy długo żyć będziesz? Nie długo! Tę jedną możesz mieć nadzieję! I w tem jednakże życzenia twoje nie całkiem się spełnią. Pożyjesz dłużej niż pragniesz! Nie raz jeszcze uczujesz cały ciężar życia! Nie raz doświadczysz niespodziewanej boleści! Nie jedna zwiedzie cię nadzieja; a tak jak drudzy po śmierci, tak ty za życia jeszcze od istot najbliższych serca będziesz zapomniany i krótkie chwile twoje nie raz śmiertelną zatrutą będą goryczą. —

Na te słowa dreszcz mi przeszedł, głowa mi się zawróciła, dziwaczne czarne figury zdały się koło mnie tańcować i różne robić grymasy; Wróżka, pokój, księgi, kręciły się przed oczami; zdało mi się słyszeć śmiech szatański jakby z piersi szkieleta na kominie będącego wychodzący — krew silnie bijąc

w skronie, tyle mi tylko zostawiała przytomności, że mogłem czuć okropność położenia mego; kilka razy chciałem powstać, ale na próżno, jakbym niewidzialną jakąś siłą do krzesła był przykuty!

Tym czasem pokój kręcąc się ciągle coraz zmieniał postać — w miarę tych odmian i moja boleść zdawała się ukajać — jakaś błogość wstąpiła do serca ... ujrzałem się w kaplicy. Przed ołtarzem leżał krzyżem człowiek tak do mnie podobny, że przyszło mi na myśl, że to ja sam jestem i że czuję się na krześle tylko siłą pamięci. Nareszcie odezwały się organy — orszak szatański, który jeszcze zdaleka widziałem, zapadł się w ziemię, a na tem miejscu ogromny płomień wybuchnął — głos jakiś anielski przyłączył się do harmonji organu; zdało mi się że za mnie hymn błagalny wznosi do Boga.

Wstrzymałem oddech żeby nie stracić i słowa. — Ten drugi ja, co leżał przy ołtarzu, powstał, potem ukląkł i podniósł ręce do nieba — a lubo na krześle siedziałem, zdało mi się że to ja wszystkie te ruchy wypełniam.

Głos coraz się wznosił, nareszcie wyraźnie usłyszałem następujące słowa, które nigdy zapewne z pamięci mojej niewyjdą:

Ty, na którego wszechmocne skinienie

Krążą w przestrzeni światy nieprzebrane,
Przed Twą potęgą, ja nieczne stworzenie,
Uchyłam czoło troskami zorane.

Niech miłosierdzie, jak Ty nieskończone,
Umai resztę drogi ku mogile,
Odżywi serce bolem odrętwione,
Pocieszysz proch ten, który cierpi tyle.

Chociaż w Twej szali ciężą moje grzechy —
Okropna strata rodziny, wygnanie,
Strata dóbr, życie bez pociechy,
Może mi Twoją litość zjedna Panie!

Mogę, gdy stanę u wieczności bramy,
Zebrząc litości za to com wykraczał
Zawołać: «Odpuść jak my odpuszczamy!»
Wszak Ty wiesz Panie, żem zawsze przebaczał!

Ze szczerą skruczą biję czołem w ziemię:
Zlituj się Panie który mieszkasz w Niebie,
I albo ulżyj nieszczęściu moich brzemień,
Albo mię prędzej wezwij już do siebie.

Lub gdy z Twej woli dłużej cierpieć muszę,
I jakby szczęścia wyglądać mogiły,
Boże przedwieczny! pokrzep moję duszę,
I do znośnienia życia dodaj siły! —

W miarę jak słowa dochodziły do moich uszów, rezygnacya wciskała się do duszy, rozczulenie ogarniało serce, zdrętwiałe ciało zaczęło odżywać, siły wracały; a kiedy na-

deszły ostatnie słowa, ta prośba tak była prawdziwą prośbą mej duszy, że jakby iskrą elektryczną dotknięty, chcąc paść na kolana, zerwałem się . . . i obudziłem!

Szambelan mocno wzruszony złożył papier. Pani Urska łzę otarła i po chwili rzekła:

— Zostaw mi pan to pismo! ... Nie zapieraj się go, bo cię poznałam!

— Niech pani służy — odpowiedział Szambelan, i jakby bojąc się żeby więcej o tem piśmie nie mówiono, dodał:

— Już północ, czas jest zostawić panię spokojną.

— Już północ? — zawołała pani Urska. — Tak późno!

Wszyscy jakby namówieni spojrzeliśmy na zegarki, a że się pokazało że już nawet było po północy pożegnaliśmy państwa Urskich.

— Nie godzi się tak popsuć kogo i potem go zostawić; smutny będę dzień miała! Jutro — rzekła pani Urska; — na pocieszenie mię powinniście mi panowie rychło znowu przybycie obiecać.

— Któż? — odpowiedział pan Bayko — nie spieszy do Horodła; któż niechciałby

w niem jak najszybciej i jak najdłużej przebywać?

Po kilku jeszcze chwilach wyszliśmy nareszcie. Nazajutrz rano Piotr, stosownie do odebranego rozkazu zajechał, wsiadłem, i tą razą nigdzie się nie zatrzymując wróciłem przecie do domu. —

P O M O W A.

Na tem przestaję wydawanie Paniętnika Originala. Jeźliby dobrze były przyjęte, ławoby mi przyszło dostać późniejsze. W starszym już wieku pisane, więcej mają powagi, traktują przedmioty ważniejsze, — często humanitarne, i gdzie niegdzie tylko anegdotą jaką są przerywane.

Czemużeś od nich nie zaczął? — nie jeden może zapyta — na co nam było tyle śmieszności nadrukować!

Na co? o to dla tego, że każdy ma obowiązek być ile można użytecznym. Hipokryzya, interesowność, złośliwość, egoizm i t. d. słowem wszystkie wady serca, i z nich często wypływające występki, wielu znalazły pisarzy

którzy je pod rozmaitemi formami wystawiali i potępiali. Mało kto zastanowił się nad tem jak wiele sprawiają złego śmieszności! Jak odejmują konsyderacyą osobistą, powagę i wpływ na opinią, które w danym razie mogłyby być nieocenionemi dla siebie i drugih. Najlepsza, najzbawienniejsza rada poprzedzona, lub zakończona komicznem jakim przysłowiem, rozśmieszy, a tem samem nie przekona. Wszystko co jest przesadzone, dziwaczne fety, małpowanie cudzoziemców lub możniejszych, wszelkiego rodzaju affektacye, odejmują zaufanie ludziom z kąd inąd najgodniejszym i całą ich użyteczność niweczą. Dla tego wojna wydana śmiesznościom jest pożyteczną i godziwą, — dla tego tę pierwszą część Pamiętników Oryginała wydałem. Dla tego mam nadzieję że popartym zostanie przez ludzi myślących, i kiedyś znowu, część jakąś, wydać się ośmielę.



Wydawca.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

99722